

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



PEJZAŻ ZIMOWY. PASTEL  
Wystawa specjalna w Salonie T. Z. S. P.

JULIAN FAŁAT

IGNACY GRABOWSKI:

# Patologia niewoli

## III. WYZWOLENIE.

Szczęściem, obie choroby, ani rozpacz romantyzmu, ani rezygnacja pozytywizmu, nie dotknęły milionów u dołu, surowej rudy ludowej. Historia niewoli, tak jak historia świetności Rzeczypospolitej, pozostawiła je nietknięte, w całej czystości poglądów. Czuć ich wykluwa się dopiero z mgły nieświadomości, a źródła polskości, indywidualizmu narodowego, zaczynają się ukazywać, sączyć z granitowych skał. Sprawa spłynięcia szerokich i bystrych potoków jest rzeczą krótkiego czasu. Działanie tej przywódczej inteligencji, która przy swoim uświadomieniu okazała nadspodziewane wyschnięcie źródeł czucia narodowego, która zatraciła wolę twórczą, nie posiada istotnego znaczenia. Czas sam obnaża wnętrza rud, dopuszczając do nich utleniające słońce. Emigrujący do Ameryki i po Europie lud chwytając odradzający wiatr kosmiczny, przynosi go do domu i budzi zaranie życia wśród kamiennej śpiączki, w jakiej często nawet mimo wolę chcieliby go ukolysać zmęczeni, zrezygnowani i nie wierzący opiekunowie.

Znacie chyba ostatni akt „Wesela” Wyspiańskiego, straszliwy taniec mar ludzkich, ten obraz cudny i kompozycję głębokości niezrównanej. Pamiętacie monotonną melodię, ruchy posuwających się ślimaków, skrzep życia w zaczarowaniu śmiertelnym kolisku, okropny taniec bezwładu i nikczemnej słabości. Pamiętacie też powszechnie dzisiaj znany krzyk: „Miałeś, chamię, złoty róg, miałeś, chamię, czapkę z piór”.

Nie ci godownicy, lecz poeta sam w sobie ma chochoła. Sam będący sercem serca współczesności, syntezą obudwu chorób niewoli, rozpaczy i niewiary, streszcza w sobie najwyższą skalę rozdrażnienia uczuć. Romantyzm daje mu skrzydła do lotu, niewiara pęta je, stąd potępieńcze szamotanie się. Staje u progu wyzwolenia, ale za każdym krokiem dalej, naprzód, rozwiewa się w mgłę i przestaje istnieć dla oczu ludzkich, człowiek ze wszystkich, jacy istnieli byli w Polsce, najbardziej chory na niewolę.

Napróżno wszakże Wyspiański przekłada kolor swych wizji na sukmanę chłopską. Geniusz jego zasiada na „Popiołach” Żeromskiego i wyje z rozpaczy przy odgłosie wszystkich dzwoneczków loretańskich i wszystkich wielkich świątynnych dzwonów. Ale gdy zapuka do okiennicy Reymontowego chłopca, ten ci chudzik wnet go zagadnie... „a cóżem wam uczynił, że mi sznur przynosicie?” Bynajmniej nie jest w nastroju do wieszania się. Pragnie żyć.

Z czego mamy się wyzwalać?

Kto? Potomkowie rycerzy z pod Orszy, Kircholmu, Wiednia, a dzisiaj nieledwie upiory, widma i chochoły, drepczący w kole, zaczarowanem przez rozpacz, która rodzi ubezwładniającą zemstę, i przez niewiarę, która rodzi haniebną trwogę? Gustawy, Konrady, Kordyany, Henryki z sparalizowaną ręką?

Czy nowe pokolenia sofistów ze sparalizowanym sercem? Napróżno! Są to spróchniałe przy drodze wierzy, niezdatne na sadzonki. Przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia. Ale mogą być doskonałymi faszynami i podkładem do umocnienia grobli, przez którą jedzie tryumfalny wóz polskości.

Lud nie potrzebuje wyzwolenia, bo, nie rozumiejąc swej niedoli, na niewolę nie chorował i sprężyn czynu nie zatrzał. Uświadomienie niemylnych jego czuć — oto cała robota. Naprawdę, w głębi duszy, obcą jest dlań zarówno egzaltacja romantyka, jak strusia chytrność pozytywisty. Gdy odkrywa oczy, dostrzega wielkie, nieplamne słońca i pożąda pełni życia za wszelką cenę. Gdy zrozumie potrzebę dokonania czegoś, odważy się na wszystko, poświęcając życie i mienie, bo to wszystko jest czemś mniej, niż jego wola.

W smutne dni lat ostatnich, gdy brak głębokiego czucia narodowego pośród rzeczy przywódców sprowadził był rozłam wewnętrzny, poćwiertowano i samo pojęcie polskości.

Tępość życia duchowego doprowadziła do takiego niesłychanego głupstwa, z którego oczywiście korzysta tertius gaudens. Nie po raz pierwszy po upadku Rzeczypospolitej wzięła się za bary histerya romantyków z trwogą sofistów. I nie po raz pierwszy niezdolność zjednoczenia się na gruncie rzeczywistego czucia narodowego sprowadziła jeżeli nie klęskę, to w każdym razie przedłużenie niemocy.

Dla względów całkiem wyrozumowanych, a sprężyną targowicy próżności wysadzonych, przeciwstawiono wzajem jakieś dwie Polski: Starą i Nową, rozdzielono swoich, prawych mieszkańców tego naszego odwiecznego domostwa na narodowców i... wyrodków chyba, usiłowano narzucać i odrzucać gwałtem, drogą podstępnej sugestyonowania mas, daty, emblematy, pamiątki historyczne i wspomnienia; tak, wspomnienia rozpoczęły pomiędzy sobą śmieszny waleczkę, możliwą tylko wtedy, jeżeli obie strony walczące nie są prawdziwymi rodzicami swych dzieci. Starano się bronić polskości — tak, w sercu Polski, opiekunowie narodu sami zakwestyonowali żywiołową siłę ducha piastowego. Broniono jej Trzecim majem i wywodami historyków, jakgdyby lud domagał się adwokackich wykrętów, gdy chodzi o cześć dla nieśmiertelnej duszy polskiej, wziętej jako wyraz energii narodowej, ryczałtem — z wadą i cnotą.

Lud (a rozumiemy to pojęcie nie klasowo, lecz jako młodą, żądną pełni życia energię, gdziekolwiek się ukaże) nie ma żadnych wątpliwości co do „polskości”, chyba, że mu jakiś sofistyczny głupiec lub nasłany partyjny agitator na chwilę w głowie zmaci. Pragnie żyć indywidualnie, silnie rasowo wśród instytucji, poczętych z jego du-

cha. Szanuje przede wszystkim i przygląda się z podziwem ludziom czynu.

Tradycje jego są starsze i głębsze, jeżeli te, o jakich mogą mu opowiedzieć historycy. Ma w sobie wolną krew piastową i wszelką zaródk dumi, cnoty i siły Zborowskich, Herburtów, Żółkiewskich, Czarnieckich. Oszczędzony przez historię, dziejów upadku Rzeczypospolitej małoletni uczestnik, występuje na widownię w całkowitym zapasie sił i chęci do życia.

Patrzy nie w stulecia upadku i niewoli, lecz na dni chwały i siły, bo te tylko zgadzają się z jego pragnieniem człowieka, wierzącego w wartość swoją i w płodność czynu. Nie będzie się spierał o chorągiewki ułańskie, i nie poruszą go do łez. On sam rozwinąłby z furją karmazynowy sztandar z pod Grunwaldu i Tannenbergu. Jego uczucie narodowe posiada powagę religii, a zatem chowa je w sobie i za nic w świecie świętokradzobą niem nie handlował.

I my, i ludzie za bardzo uświadomieni, a za mało czyniący, idźmy w tym razie za instynktem prostaka, gdy chodzi o żywiołowe kształtowanie się narodu, bo współdziałaniem możemy zbliżyć czasy.

Jeżeliśmy wszyscy schudli na chlebie pozytywistycznym, to weźmy od tego światopoglądu zrozumienie potrzeby choćby jednej rzeczy, cierpliwości. Cierpliwość zaś daje szkła do widzenia na odległość. Patrzymy trochę dalej przed siebie i trochę dalej — za siebie.

Szkoda pić trucizną ideową z puharu terażniejszości i nieodległej przeszłości, z niedoli i choroby, pełnej majaczeń, sporów i zmęczenia.

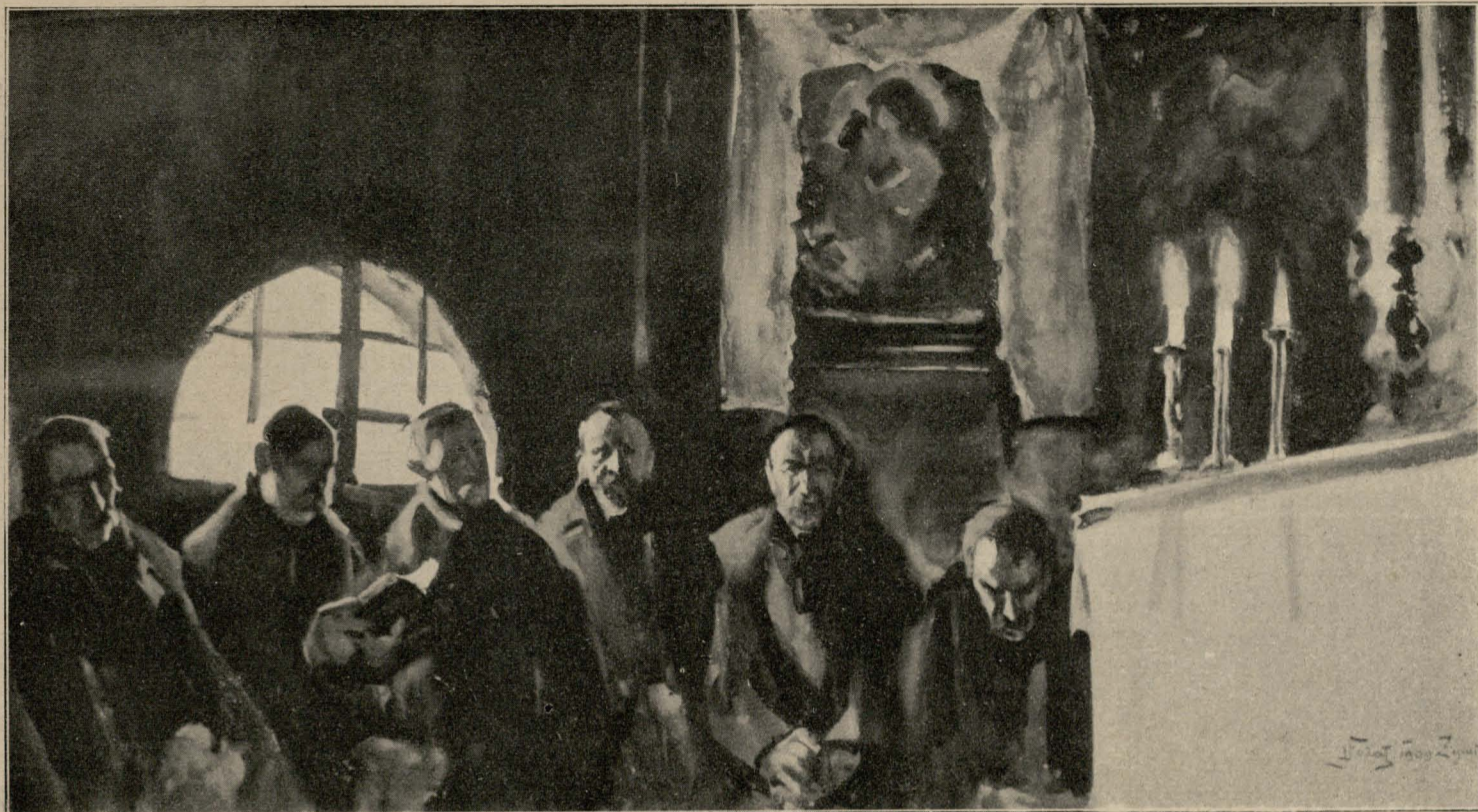
Jeżeli nie wszyscy posiadają dość silnych skrzydeł, aby lecieć w przyszłość, to wszyscy, stojąc na miejscu i nie męcząc się zbytnio, mogą się wpatrzeć w „złote wieki” swej Ojczyzny, gdy polskość miała była nadzwyczajny i niepospolity wyraz, zanim na stulecia położyła się do letargicznego sarkofagu. Roztarganiem romantycznym zmęczenia, a od bezducha rezygnacji głodni, spróbujmy przypomnieć sobie tren Kochanowskiego.

Na poziomie duchowym Jana z Czarnolasu stoi dzisiaj lud polski, pieśni poety po kościołach śpiewający. Nie bądźmy śmieszni; niby ordynarni organiści, nie uderzajmy pokrzywionymi palcami po pięknych organach. Jako całą robotę, mamy delikatnym dotknięciem duszy uświadomić istniejące czucia.

I to jest wyzwolenie. Innych wyzwoleń niema, tak jak niema cudów. Jeżeli pora dojrzała, przychodzi z szybkością zdumiewającą. Przychozą, jak wiosna, płodność ziemi i kwitnienie drzew. Niepowstrzymanie. Pobratymcy z nad Wełtawy dostarczyli nam klasycznych wzorów zjawiska.

Słońcem tej rodzajności jest zawsze i wszędzie szczere i głębokie poczucie wartości i potęgi własnej duszy, indywidualność. Tylko przez wybitną indywidualność jednostek istnieć może naród. Im więcej ich, tem silniejszy, tem bardziej wyzwolony od przypadków historycznych.





MSZA (wystawa specjalna w Salonie T. Z. S. P.)

JULIAN FAŁAT

## „DWA ŚWIATY” FAŁATA.

Żywioł twórczości, ów najsubtelniejszy i najbardziej abstrakcyjny pierwiastek sztuki, mieści się w duszy każdego prawdziwego artysty, jako emanacja najszlachetniejszych cząstek jego wewnętrznej istoty. Przejawia się w nim siła jednostki, ustygmatyzowanej piętnem talentu, znajduje odbicie szczerą uczuć... jest skalą porywów, genezą indywidualności.

Geniusz kreacyjny wytwarza własny swój świat, który w zestawieniu ze światem rzeczywistym przedstawia się, jako echo, refleks, wizja tego, co istnieje; wzięty sam w sobie, jest całością skończoną, niezależną, organizmem żywym, jak żywe jest wszystko, co posiada być swój samorodny. Jest on plastycznym wyrazem uczuć, wypływających z głębin organizacji duchowej, zaludnia oderwaną sferę ludzkich ideałów... a in potężniejszym odezwie się akordem, tem większe ma znaczenie.

Na podniecie twórczą w artyście oddziaływała przede wszystkim człowiek, ta druga część jego istoty duchowej, ze swym temperamentem i skłonnościami; na człowieka zaś wpływają najrozmaitsze czynniki, które charakter jego urobiły. Ślady tych wpływów tkwią w naturze artysty od chwili urobienia się jego indywidualności i na ich podłożu, twórczość jako potrzebę wewnętrznych dążeń, rozwijają. Jednym słowem, w pojęciu „twórcy” mieści się i człowiek, gdyż z niego wyłania się artysta, i artysta, gdyż z niego wysnuwa się twórczość. Artyzm jest w tym razie łącznikiem między człowiekiem a twórczością.

Bardzo ciekawym przyczynkiem do zrozumienia i odczucia twórczości artystycznej jest obraz Fałata, który wraz z innymi pracami znakomitego akwarelisty znajduje się na jego zbiorowej wystawie.

Pod tytułem „Dwa Światy” dał nam Fałat kompozycję o głębszym psychologicznym nastroju. Jest to jakby plastycznie wypowiedziana spowiedź, w jednym z owych przełomowych stanów wewnętrznej rozterki, odbicie

chwili, w której niepokój władnie umysłem, niepewność szarpie duszą.

Fałat oddawna już stał się w malarstwie wybitną jednostką, od lat już wielu patrzymy na kształtowanie się, na rozrost tej niepospolitej organizacji malarskiej, przywykliśmy uznawać w nim znakomitego artystę w tem, co ze swoim imieniem wniósł do sztuki polskiej. Rodzaj jego talentu jest tak określony, tak zlewa się z rodzajem, który urobił w długoletniej swej karierze, że zdawało się nam, iż postać wewnętrzna dyrektora akademii krakowskiej jest w ostatecznej swej formie skończona, i że taką już przejdzie na karty historii naszej sztuki współczesnej.

Tymczasem potrzeba szczerego wylania uczuć zmusza artystę do odstonięcia części swej wewnętrznej natury, nieznannej nam najzupełniej; wyraz tej szczeroci, mieszczącej się w najświeższej jego kreacji, „Dwa Światy”, ukazuje nam Fałata w nowym świetle.

Więc walki z samym sobą, cele pociągające, a nieuchwytnie... więc rwanie się naprzód w bezgranicznej trwodze o trwałość najdroższych ideałów... więc rozstajne drogi przeciwnych sobie kierunków... mogą być udziałem uznanych mistrzów, na apogeum sławy i znaczenia stojących, pewnych siebie wirtuozów, dla których nie istnieją trudności?

Czyż rzeczywiście w umyśle artysty pojawiły się skrupuły, które go mogły choć przez chwilę trzymać w niepewności o trwałość twórczego dorobku?

Nie. Tak chyba nie jest. Fałat, przedstawiając siebie, pogrążonego w zadumie, na tle pracowni, wobec ruchu i gwaru tłumu, który wkracza w jej naociecz otwarte podwoje — nie myśli opuszczać dziedziny, którą uduchowił swemi kreacjami, nie likwiduje życiowej swej pracy, wysiłków w imieniu sztuki podjętych, i zwycięstw, które mu one przyniosły.

Ów drgający życiem świat fałatowski, który w typowych okazach, wyrwanych z tysięcy jego obrazów, przybywa do swego kreatora i z rubasznym ruchem polskiego chłopaka się do nóg jego, czuje, że wrócił

głęboko w serce mistrza i że go żadne zmiany kierunków w sztuce z serca jego nie wypędzą. Za zwartą grupą chłopów, myśliwych, gajowych podążają małe koniki, wiozące w sankach zabitego zwierza, mająceje w perspektywie tak popularny krajobraz, śniegiem osypany. Toż także część fałatowskiej duszy, a z nią razem skojarzona dusza krajobrazu polskiego. Takich przyjaciół całego życia nie porzuca się nawet w momentach rozczarowań. „Ten świat jest mały, ale on jest moim światem”, może śmiało Fałat powiedzieć.

Tymczasem cóż widzimy z przeciwnej strony obrazu? To ma być ów „drugi” świat. Jest to wizja fantazyjnych kobiecych postaci; mają one symbolizować modernizm.

Dość rzucić okiem, aby się przekonać, po czyjej stronie jest sympatya Fałata, który z „dwóch światów” ukochał całą głębią swego serca. Można być pewnym, że nawet w walce wewnętrznej, w duszy artysty rozegrywającej się, symboliczny korowód w niezdecydowanym swym wyrazie malarskim nie przeważa na swą stronę zwycięstwa. Jak wszedł przypadkiem do pracowni Fałata, tak z niej uleci, rozwiany w mgle nieuchwytniej.

Obraz ten ciekawy jest pod wielu względami. Ocenę jego fachową pomijam, gdyż mi chodzi tym razem o zupełnie co innego.

Chodzi mi o zaznaczenie niezwyklej żywotności w artyście. Jego najnowsza kreacja dowodzi, że uczucie, które zwykle towarzyszy młodości, zachował w sobie Fałat dotychczas w pierwotnej swej sile: uczucie szczerego zapału. „Dwa światy” są refleksem psychologicznego momentu, w którym artysta mógł być pociągnięty nowością wygłaszanych kanonów; a może należy usłuchać nowobrzmiących haseł, porzucić wydeptaną latami ścieżkę i podążyć w nieznaną krainę? Ta choćby chwilowa chęć szukania czegoś nowego, to tak czysto artystyczne, ale równocześnie i młodzieńcze pragnienie skąpania twórczych aspiracji w nieznanym źródle dziedziny sztuki stanowią znamieny rys malarza, który daleki jest od wyczerpania.

HENRYK PIĄTKOWSKI.



DWA ŚWIATY  
Wystawa specjalna w Salonie T. Z. S. P.

JULIAN FAŁAT

KORNEL MAKUSZYŃSKI:

## CHYTROŚĆ.

Uświęćmy nasze dusze w ogromnej boleści,  
Na ciała wdziejmy brudne, pokutnicze wory,  
By zmierzyć, ile bolu nam się w piersiach  
zmieści,  
I pójdźmy do złych ludzi uczyć się pokory.

Jeśli nam w oczach błysną słońca wodospady,  
Trzeba nam oczy zamknąć i pokusę zdławić;  
Jeśli kto śpiew zawiedzie głośno wśród  
biesiady,  
Trzeba, by wtedy serca w nas zaczęły krwawić.

Jeśli nas w twarz uderzy człowiek zły i głupi,  
Trzeba, aby w nas uśmiech ujrzał zamiast  
złości,

A jeśli szatę zbójca ci jedyną złupi,  
Żałuj, że niema więcej, by grał o nie w kości.

A zaprawdę, powiadam tobie: niema siewu,  
Który nie zrodzi żniwa, i niema tej siły,  
Która idzie na marne. Daj się bić bez gniewu,  
A żniwo ci przepowiem wielkie, bracie miły.

Albowiem na śmierć skażesz nienawistne męże,  
Gdy przyjdzie twoja chwila, co wszystko

odmienia,  
A wtedy ci nie zmiękną serca wzruszeń wężę,  
Bo, w bolu skamieniały, staniesz się—z kamienia.



AUTOPORTRET

JULIAN FAŁAT

KORNEL MAKUSZYŃSKI:

## Chwila eudowną.

Ja nie śpię... czuwam... oddam cię świtowi,  
Lękom cię nocy wyrwawszy ze szponów,  
Wszyscy będziemy w słońcu chodzić zdrowi.  
Świt już za chwilę wstanie z głosem dzwonów.

Noc łowi dusze, gardzi dzień zdobyczą,  
Jak jasny rycerz, co gardzi rozbojem.  
Uśpione słońcem bole w głos nie krzyczą,  
A lęk słonecznym leczy się napojem.

Serce twe czuje już świt i łopoce...  
Już światłość razi piekło ślepych źrenic,  
Którymi chorych trwożą ciemne noce,  
Już dzień podważa stałą drzwi okienic.

Zorze wstające! o, promienne ptaki!  
Skrzydła wyprężcie tutaj, w moją stronę,  
Milczeniem wołam was, niemymi znaki.  
Bowiem tu serce kona umęczone.

Czemu nie krwawi świt?... O, Chryste Panie!  
O szczęściu życia jedna chwila waży...  
Krwi temu sercu trzeba, bo ustanie,  
Niech się rozkrwawi słońce i rozżarzy.

Przyszłość?... Niech w zdrowiu rośnie tarcz  
promienna!  
Chwilę zapóźno... W dyjamentów graniu  
Rozpal się błyskiem: chora ma jest senna,  
Będziesz gromnicą świecić przy skónaniu.

BOLESŁAW PRUS:

# Prowokatorowie i tam dalej.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Otrzymałem list, mniej więcej następującej treści:

„To, co opowiem, stało się dosyć dawno. Nie miałem lat dziesięciu, kiedy pewnego dnia na naszym dziedzińcu ukazał się człowiek, z którym ojciec mój przeprowadził niezbyt długą rozmowę. W tej chwili do pokoju weszła stara niania, a zobaczywszy przez okno, z kim ojciec rozmawia, załamała ręce i szepnęła:

— Co nasz pan robi najlepszego?... Przecie to szpieg!...

Znaczenia wyrazu „szpieg” nie rozumiałem. Ale głos nianki, jej wyraz twarzy i postawa były tak niezwykle, że ogarnęło mnie przerażenie, którego opisać nie potrafię. Odsunąłem się od okna, a ile razy później zobaczyłem owego pana, uciekałem i kryłem się przed nim. Co dziwniejsza: nikomu ze znajomych nie powtórzyłem słówka, które niania wypowiedziała o nim.

Jeszcze dziś mam wstręt do tego wyrazu i wolę zastępować go mniej przykrym rzeczownikiem: donosiciel.

Otóż za moich czasów prawie takim był ogólny nastrój dla donosicieli. Budzili oni uczucie grozy. Nawet nie lubiono o nich rozmawiać, lecz każdy wiedział, jakby od samego przyjscia na świat, że—należy się ich bardzo wystrzegać. Istniała jakaś ciemna, głucha wiara, że osoby takie jednakże różnią się od ludzi: że potrafią stawać się prawie niewidzialnymi i słuchać przez ściany.

Taki dziwny przesąd zasiała w mojej duszy niania. Z czasem, naturalnie, przestałem wierzyć we wszechsłyszalność i niewidzialność donosicieli; w każdym razie z ich powodu pozostała mi niezwykła pamięć.

U nas, jak wiadomo, istnieje pewna skłonność do spisków, po największej części niegroźnych; zaś autorowie ich i współdziałacze bardzo często lubią swoje tajemnice wygłaszać w teatrach, cukierniach, na ulicach i t. p. Nic dziwnego, że niekiedy i o mnie ocierał się niejeden taki spiskowiec. Lecz, gdy chciałem wtajemniczyć w swoje okropne zamiary, natychmiast przerywałem mu:

— Drogi panie, tylko żadnych sekretów!

— Dlaczego?

— Widzi pan, dlatego—odpowiadałem — ponieważ pana lada dzień aresztują za... nierozwagę i ponieważ, siedząc w koczku, przedewszystkiem zacznie pan rozważać: kto pana zdradził?... Więc ja nie życzę sobie, ażeby między nazwiskami, które wówczas przyjdą panu na myśl, znalazło się i moje...

— Ale któżby pana posądzał!...

— Przepraszam... Ja nawet nie chcę figurować w takiej głowie, która potrzebuje kogokolwiek posądzać...

Ten mój przesąd, mimowolnie zaszczycony przez niankę, nazywano dziwactwem. Ja przecie jestem z niego zadowolony. Bo, choćbym nawet dostał kiedy bzika, choćbym zapragnął wyznać jakąś tajemnicę, nie mógłbym zrobić tego, ponieważ przez całe życie wystrzegałem się tajemnic i—nic, ale to nic, nie wiedziałem nigdy...

Za pomocą tej długiej historii chcę uwiódzić panu: w jaki sposób ludzie mojego pokolenia, a przynajmniej ogromna ich większość, zapatrywała się na kwestję donosicieli i donosicielstwa. Istniało jakby nieświadome hasło w każdym z nas: wszystko — byle nie to!.. Sfałszować dokument, podpalić budynki, ukraść, nawet zabić — były to przestępstwa, były to zbrodnie. Ale na donosicielstwo nie istniała żadna kategoria w naszej etyce. Uważaliśmy też za okropną, bezdenną podłość posądzanie o donosicielstwo ludzi, którzy tego rodzaju przygód nie mieli na swoim sumieniu.

Czasy jednak zmieniają się — i poglądy także. W społeczeństwie naszym zaczęły się psuć języki, a może — i sumienia. Nie rozumiem, z jakiego powodu wyrazy: donosiciel i zdrajca stały się modnymi w naszym kraju. Najzaniejszy, najuczciwszy człowiek, nie wiadomo przez kogo, mógł zostać mianowany: „zdrajcą”, a lada zbieg wypadków zwał na czyjaś głowę tytuł: „donosiciela”. Jeżeli p. X. miał naganny zwyczaj pożyczania pieniędzy, których mu nie zwracano i jeszcze obrażano się o to na niego, i jeżeli na ulicy, gdzie mieszkał p. X., został ktoś aresztowany, wówczas — prawie na pewno — tenże X. zostawał... „denuncyantem!”... A jeżeli zapytałeś: na jakiej zasadzie nazywacie X-a denuncyantem?... odpowiadano: Jaki, nie wiesz?... przecie Y. został przez niego aresztowany!...

Gdzie Krym?... gdzie Rzym?... W każdym razie „opinia” rozchodziła się. Co jednak, z drugiej strony nie przeszkadzało ludziom utrzymywać stosunków z owymi nieszczęśliwymi X-ami. I byłoby to i słuszne, i dobre, gdyby jednocześnie w kwestyi donosicieli i donosicielstwa opinia publiczna nie stępiła, nie zubożętniała i to nie tylko u nas, ale na całym świecie.

Bo tylko niech pan przypomni sobie: jaki bohater był najmłodniejszy w ciągu ostatnich paru lat?... Sherlock Holmes. A któż to był Sherlock Holmes?... agent śledczy. A czy tylko o nim pisano i jego sprawy czytano?... Bynajmniej. Literatura współczesna stworzyła z dziesięć tego rodzaju typów!.. A czy nie

zauważył pan np. w *Matin*'ie w r. z. autentycznych pamiętników pewnego młodego Francuza, który, na rzecz sztabu niemieckiego, szpiegował swoją rodzoną ojczyznę!

Mamże przypominać tego „pedagoga” Niemca, który zalecał wprawiać dzieci w „obserwowanie” pewnych zjawisk życiowych, bardzo przypominające szpiegostwo?... A proszę pana, owe agentury szpiegowskie w Brukselli, gdzie jeden i ten sam specjalista obsługuje kilka państw?... A proszę pana, ci reporterowie francuscy, którzy na własną rękę prowadzą „śledztwa” i nawet wyłudniają zeznania od ewentualnych zbrodniarzy, zeznania, rozumie się, fałszywe, nic warte?..

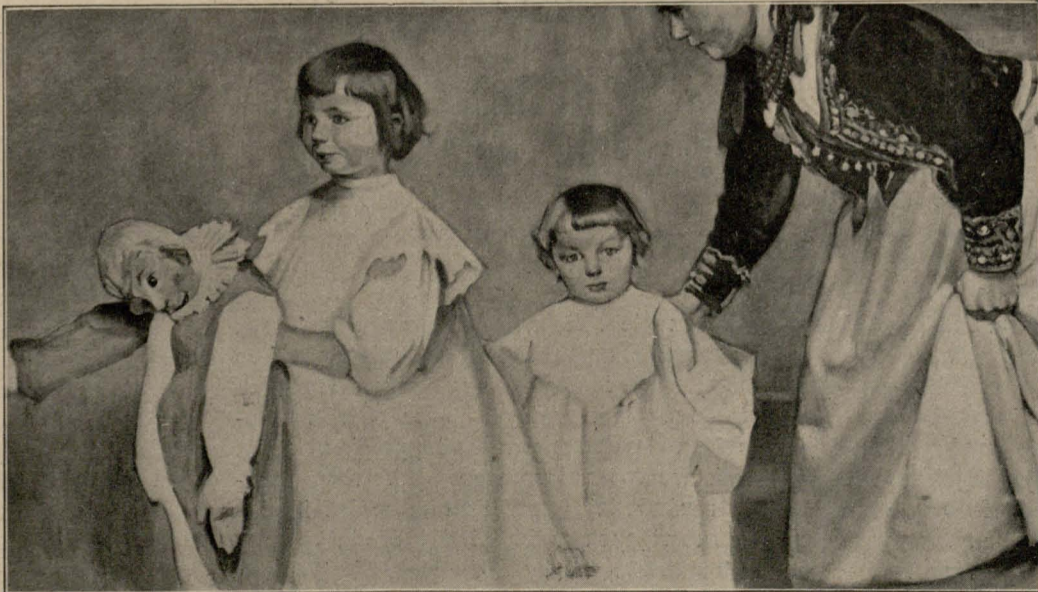
Wracając do naszych stosunków, czy mam przypominać tych nieszczęśliwych uczniaków, których partye zabijały za... szpiegostwo!.. Jeden z nich, czternastoletni półwryat, tak nazywał się Sherlocka Holmesa, że chodził po cyrkulach, ofiarowując swoje „usługi” i narażając się na wyrzucanie za drzwi? I czy nareszcie potrzebuję robić wzmiankę o... tych sądach honorowych czy obywatelskich pomiędzy niezawodnymi prowokatorami a wątpliwymi donosicielami. Zgodzi się pan, że wobec tego rodzaju faktów człowiek wyuczajny — jak to mówią — słupieje... Sąd obywatelski w sprawie o... szpiegostwo. Bodajże was kaczusie zdeptały!.. A jednak wszystko to dzieje się w naszych czasach i naszych oczach...

Proszę pana, streszczam się. Streszczam się i zapytuję: czy to jest jakiś chwilowy obłęd, jakiś gatunek opętań średniowiecznych, czyli też jest to dowód głębokiej demoralizacji, która ogarnęła nas wszystkich: naszą opinię publiczną, nasze partye, naszych ludzi dojrzałych i naszą młodzież?..

Uznając fakty, zacytowane przez korespondenta, nie podzielam jego pesymizmu. Jedno jest prawdziwe, że u nas, dzięki systematycznemu oszczerstwu, a choćby tylko bezmyślnemu plotkarstwu, dzięki nazywaniu „zdrajcami” lub „złymi Polakami” ludzi niekiedy czcigodnych, opinia publiczna stała się podobną do bagna, w którym bardzo wygodnie żyje się — istotnym hultajom. W otoczeniu moralnym hultaj czuje się zakłopotanym: nie ma humoru, nie ma rozpędu... Lecz gdy ze wszystkich stron słyszy przezwiska: ten zdrajca, tamten zły obywatel i t. p., nabiera dzielnej miny i rozpuszcza skrzydła.

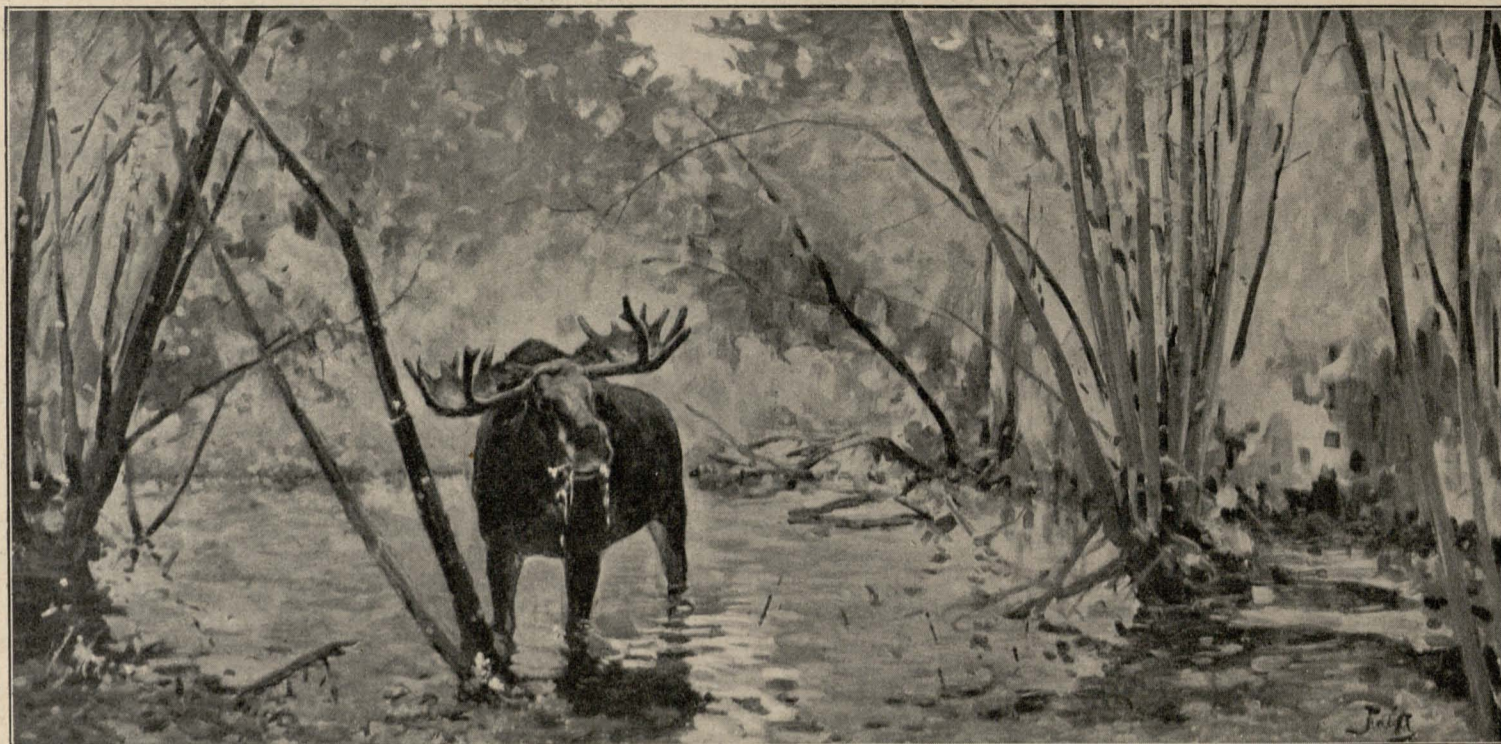
Lecz, ażeby „donosicielstwo” spotęgowało się w całej Europie, tego nie widzę; owszem, jestem pewien, że ono w krajach ucywilizowanych zanika. Dziś prawdziwe donosicielstwo praktykuje się tylko w sferze stosunków wojennych; innego niema. Trudno bowiem nazywać donosicielami lojalnych i użytecznych agentów policji kryminalnej, którzy czuwają nad publicznym bezpieczeństwem i stanowią hamulec dla zbrodniarzy.

Spisek, donosicielstwo, prowokatorstwo są to choroby społeczne, wynikające ze „sztucznych „praw”. Co zaś rozumiem pod tym terminem — przykład wyjaśni. Przypuśćmy, że w jakimś kraju zakazanoby — blond włosów... W tej chwili, rozumie się, musiano by utwo-



DZIECI ARTYSTY (wystawa specjalna w T. Z. S. P.)

JULIAN FAŁAT



ŁOŚ W BAGNACH (specjalna wystawa w Salonie T. Z. S. P.)

JULIAN FAŁAT

rzyć biura, kontrolujące kolor włosów, ustawić pewną liczbę urzędników, obdzielić ich tytułami, pensjami i t. p.

Rzecz naturalna, że dobrze płatni urzędnicy dbaliby o swoje posady i tropiliby blondynów, co doprowadziłoby do więzień i kar pieniężnych. Większość blondynów zapewne farbowałaby włosy, lecz ten proceder ani na jotę nie zmniejszyłby ich liczby; zaś gorączkowo usposobiona mniejszość zaczęłaby spiskować. Spiski znowu wywołałyby utworzenie policji tajnej, która bardzo zaostriżyłaby stosunki; doszłoby więc do buntów i zamachów, co znowu pociągnęłoby za sobą ciężkie roboty i wyroki śmierci.

Zmęczeni blondyni na pewien czas ucichliby; lecz wówczas tajna policja, ażeby utrzymać posady, wysłałaby prowokatorów, którzy wywoływaliby udane spiski i zamachy. Skutkiem tego niezadowolenie w kraju rosłoby, tajną policję należałoby pomnażać, wydatki na nią zwiększać. A nareszcie prowokatorzy, alarmując członków rządu fałszywymi doniesieniami i wyłudzając dla siebie coraz większe wynagrodzenia i przywileje, stałoby się pierwszorzędną siłą w państwie, groźną nawet dla ministrów. A ponieważ liczba blondynów wcale nie zmniejszyłaby się w kraju, więc w rezultacie rząd zastanowiłby się...

I powiedziałyby sobie: po co ja mam walczyć z blondynami, którzy płacą podatki, a napełniają kieszenie prowokatorom, którym coraz mniej ufam? Spróbuję znieść zakaz przeciwko jasnemu uwłosieniu...

Jakoż, spróbowałby, przekonałby się, że w kraju nikt nie ma ochoty do spisków, że panuje spokój, że tajną policję można zwinąć i wydatki na nią schować do skarbcza...

Szanowny korespondent powie, że przykład jest fantastyczny? Nie tak bardzo. Wprawdzie przeciw blondynom nikt nie wydawał zakazów, niemniej—w całej zachodniej Europie, jeszcze w pierwszej połowie XIX-go wieku, istniały tajne policje, czarne gabinety, prowokacje, spiski, okrutne więzienia, tortury i szafoty. Sama Austria słynęła, jako katownia, a królestwo neapolitańskie pławiło się we krwi

spiskowców, roło się od donosicieli i oprawców. A dziś?... Austria i Włochy należą do państw najliberalniejszych.

Niedawno widzieliśmy ostre zaburzenia w Pradze czeskiej. Ogłoszono stan wyjątkowy i nawet z wielką ostentacją sprowadzono kata. Zapowiedziano też, że winny zaburzeń będzie oddany pod sąd doraźny i ewentualnie powieszony w ciągu kilku godzin. Lecz jednocześnie oświadczone, że sąd doraźny—będzie jawny, a w tydzień później—zniesiono stan wyjątkowy, nie osądzivszy ani jednego warchoła, nie sprowadzivszy ani jednego więcej agenta tajnego.

Oto w jaki sposób złe stosunki społeczne zmieniają się na coraz znośniejsze, na coraz lepsze. Znikają sztuczne prawa, wygasają spiski, rozpięzcha się tajna policja i prowokatorowie. A ta sama wolność, za którą przed sześćdziesięcioma laty wieszano w Austrii i Neapolitańskim, ta sama wolność należy dziś do praw i obywatelskich obowiązków.

To też jeszcze starożytni powiedzieli: *tempora mutantur, et nos mutamur in illis*—czasy zmieniają się, a my z nimi!... Niema więc czego rozpaczać.

BRONISŁAW CHLEBOWSKI:

## ZYGMUNT KRASIŃSKI

(1812—1859).

W 50 ROCZNICĘ ZGONU.

### II.

Znaczenie „Nieboskiej” polega na tem, iż odtworzył tu poeta swe najdonioślejsze, bo najściślej wiążące się z realnymi stosunkami ogólnie - ludzkimi, wizje, przeżycia i rozmyślenia, związane z ważnymi pytaniami życia jednostkowego i zbiorowego. Jak wizje dantejskie rozświetlają cały system pojęć i wierzeń, stanowiących treść wiedzy średniowiecznej, tak znowu obrazy „Nieboskiej” ilustrują z wielką potęgą, wstrząsającą siłą wyrazu doniosłe pytania współczesne. Usprawiedliwia-

jąc siebie, poeta-myśliciel uświadamia ogół o doniosłości gotujących się przewrotów i składających się na nie czynników. W tem źródło wyższości „Nieboskiej” nad dwakroć większym co do rozmiarów, bogatszym w uchwytną piękność dekoracyjną, zrozumialszym i pociągającym więcej polskie dusze myślą przewodnią—„Irydyonem”. Interesując się przeszłością Rzymu, z którą żył się przez częste i długie pobyty w tem „wiecznym” mieście, przez rozczytywanie się w jego dziejach i rozpatrywanie zabytków, dzieli się w utworze tym poeta często wynikami swych lektur i wrażeń, swymi sercowymi przeżyciami, bez względu na ideę przewodnią, która ginie wtedy dla czytelnika, niecierpliwie się nieraz temi ilustracjami starożytności rzymskich. Epilog dopiero przemawia do serc i pozwala zapomnieć o chwilach znużenia, których „Nieboska” nigdy nie sprowadza. Podczas gdy Słowackiego pociągnął głównie „Irydyon” pięknem tła i rozrzuconych na tem tle obrazów, to Mickiewicz zwrócił się ku „Nieboskiej”, która mu zaimponowała bogactwem myśli, prawdą i siłą odtwarzanych w niej przeżyć.

Zarówno wyczerpanie treści duchowej, zużytej na wytworzenie dwu powyższych dzieł, jak męczący wrażliwego i chorego poetę stosunek z p. Bobrową, tudzież wiążąca się z nim walka z ojcem—spotęgowały dotychczasowy pesymizm i rozstrój duchowy, znajdujący w negatywnych rezultatach współczesnej filozofii niemieckiej, usuwającej podpory wierzeń dotychczasowych Krasińskiego, swe uzasadnienie i wzmocnienie. Poznanie się ze Słowackim i jego utworami, w maju r. 1836, pobudzi zwątpiałego do szukania w twórczości bodźca do życia, środka wyzwolenia się, choćby chwilowego, z tego letargu duchowego, w jaki teraz ciągle zapada. „Noc letnia” (1837 r.) i prawie współczesna z nią „Pokusa” noszą piętno nastroju rozpaczliwego, w pomyślach, postaciach, położeniach i położonych na czele utworu mottach (zwłaszcza w „Pokusie” wykrzyk: „Przekleństwo nade mną”, kończący motto), a obok tego wpływu Słowackiego w stylu i formie tych utworów, tudzież w postęgi-

waniu się formą wiersza w wynurzeniach lirycznych, począwszy od lipca r. 1836. Z tego czasu pochodzą też fragmenty „Wandy”, którą

za przykładem „Balladyny”, tej udratyz o w a nej ballady, wysnutej z pieśni ludowej i ballady Chodźki, próbował wysnuć z dwuwiersza pieśni o córce Krakusowej („Leży Wanda w naszej ziemi”). Z tych lat pochodzi też pomysł i pierwsze urywki zamierzonej trylogii, w której „Nie-

boska” stanowić miała część środkową. Fragmenty te, z dotworzonymi znacznie później scenami stanowią t. zw. „Niedokończony poemat”. Najważniejsza i najpiękniejsza jego część, „Sen”, jest odtworzeniem tego „piekła dni naszych”, przez które przechodziła teraz dusza poety.

Odbiciem stopniowego dźwigania się z ciemnych otchłani tego piekła podłości, zwątpienia, rozpacz, do wyżyn, z których, jak Dante w „Czyśćcu”, ujrzy przedświt Raju i napotka swą Beatrycę, są „Trzy myśli Ligenzy”, pierwszy wyraz przekształcenia, dokonywanego się w duszy poety (od r. 1838) pod wpływem zapoznania się z tak bogatą i podniosłą duszą Augusta Cieszkowskiego, zarówno przez jego prace filozoficzne, świeżo ogłoszone („Prolegomena zur Historiosophie” 1838), jak i w osobistym zetknięciu się w Medyolanie jesienią r. 1839. Jednocześnie w grudniu r. 1833 poznaje w Neapolu Delfinę Potocką, która swą urodą, artystycznym muzycznym, urokiem cierpienia, przeżytych w niefortunnym małżeństwie, oświeca duszę poety i umiała utrzymywać przez długie lata swą władzę, dając ukochanemu nieznanemu mu dotąd szczęście uczucia, wnoszącego z sobą spokój, harmonię i upojenie radosne. To odradzenie się własnego ducha z długoletniego przygnębienia, „letargu” do nowego życia, odbija się w poglądach poety na świat, na przeszłość i przyszłość ojczyzny i ludzkości. W „Synu Cieniów” poeta widzi w „złem” przejście tylko, czynnik, podnoszący, oczyszczający człowieka, który, choć „dziś wątpi i od wieków jęczy”, to jednak „w gwiazdę nieba przetworzy krąg ziemi, wiążąc go z niebem innej wstęgą tęczy”. Czuje się teraz ten zrozpaczony Hamlet pełnym siły, nadziei, zapału, wiary i woła:

Coś myślą pojął, dosięgniesz ramieniem,  
Ujrzysz na oczy, coś przeczuł natchnieniem...

Gdziekolwiek idziesz, tam wre anioł życia...

Bądź znów, jak Tytan, wielki—silny—dumny—  
Wszędzie kolebki, niema nigdzie trumny—  
I wszędzie niebo, niema nigdzie ziemi.

Ziemia „z piekłem dni naszych” przekształcała się teraz w Niebo, a przynajmniej w Raj ziemski. Poeta czuje się szczęśliwszym na tym smutnym świecie od aniołów w niebiesiech (wiersz „Do duchów” z 1840 r.) i, mając w swej ukochanej podniecającą żywym zainteresowaniem słuchaczkę, zespala swe wynurzenia i zachwyty z wizjami filozoficzno-religijnymi, nadającymi tym dwuspiewom miłosnym

eteryczność i podniosłość scen Raju dantejskiego.

Ty, patrząc w górę, pytasz się żałośnie,  
Duch nasz na miarę bezmiaru czy wzrośnie?  
Czy będziem kiedy, my smutni, wiedzieli,  
Jacy mieszkają po gwiazdach anieli?

A ja cię pieśnią kołyszę nadziei,  
Ja ci zwiastuję lot ducha przepływny  
Przez ciąg postępných wszechświata kolei  
I świat nareszcie wieczny—Boży—inny.

Jednocześnie w obszernej, nie dokończonej rozprawie filozoficznej „O Trójcy w Bogu i o Trójcy w człowieku” rozwija myśl, że w postępie dziejowym społeczeństw i ludzkości doprowadzić do harmonii bytu realnego z myślą idealną może jedynie religia, którą zwie „genialnością planety”. Przez nią miłość, jako grom, zstępuje do serc i uzdalnia do czynu. Szczep słowiański wogóle, a wśród niego naród polski nosi w swej duszy tę religijność i tę miłość, bez której dalszy postęp ludzkości jest niemożliwy. Historyzofia Krasińskiego ma swe źródło w stanie jego duszy, w świeżo przebytej ewolucji uczuciowo-pojęciowej. Najpełniejszym i najświetniejszym wyrazem tej ewolucji, jej kwiatem, jest „Przedświt” (1843), pieśń radości poety, wyzwolonego z mąk i mroków przez osiągnięcie szczęścia i miłości dla serca, a spokoju, harmonii i celu dla duszy, opartej na syntezie historyzoficznej, rozświetlającej dalszą drogę życia, twórczości i czynu. Czem „Raj” w trylogii dantejskiej, tem „Przedświt” w szeregu utworów Krasińskiego.

Choć pozornie wydaje się, że, tworząc i ogłaszając w dwa lata później „Psalm przyszłości” (1845), poeta złamał postanowienie, zamykające „Przedświt” („Zgińcie, me pieśni, wstań-



Marya z Radziwiłłów Krasińska, matka Zygmunta.

cie, czyni moje!”), jednakże w rzeczywistości „Psalm”, a przedewszystkiem „Psalm miłości” są czynem poety, który po raz pierwszy występuje tu w charakterze wieszczki i wodza, nie z marzeniami i wizjami, lecz z nauką i rozkazem. Pobudzony prelekcyami paryskimi Mickiewicza i harmonijnie wiążącą się z ich ideałami własną historyzofią, przy zamilknięciu głosu wielkiego wieszczki i wodza duchowego, ujrzał się, w tym ważnym momencie, wobec przygotowywanych doniosłych wstrząśnień, zniewolonym do zabrania głosu, do oświecenia i pokierowania dusz. Słowacki, choć uważał się wtedy za jedynego posiadacza rozjaśniają-

cej wszelkie zagadnienia wiedzy i w niej widział jedyną zbawczą prawdę, mogącą wyzwolić i odrodzić społeczeństwo polskie, nie śmiał ogłaszać światu swej „Genesis z ducha”, nie mając na to pozwolenia z góry. Krasiński, który sformułował ostatecznie swój system pojęć historyzoficznych, pozwalający mu wyjaśnić przeszłość narodu i wytknąć drogę ku wysokim zadaniom i celom wielkiej przyszłości, czuł się i był istotnie jedynym w tym czasie uprawnionym i powołanym do zabrania głosu, do przemawiania w imieniu całego narodu jako jego wódz i przedstawiciel. Choć więc Słowacki, przeświadczony o swym posłannictwie, o swoich wyłącznych, najwyższych prawach do przewodzenia narodowi, o prawdzie objawień, rozświetlających przeszłość i przyszłość świata i własnego narodu, wybuchnie potężnym protestem w wierszu „Do autora trzech psalmów”, w wywodzie obrończym piątego aktu „Zborowskiego”, lecz protest ten, nie ogłoszony drukiem—bezpośrednio przynajmniej—pozostanie nieznanym ogółowi.

Rozwinąwszy całą pełni swego kapłańskiego namaszczenia we wspianym „Psalmie dobrej woli”, zstępuje powoli Krasiński z piedestału wieszczki, porwany prądami ówczesnego życia politycznego, do roli działacza—publicysty. Ostatnie jego utwory: „Resurrecturis”, „Ostatni”, „Dzień dzisiejszy”, są zlepkami, łączącymi, wspólnością pomysłu i tytułu, nieporównanej piękności liryczne wynurzenia z epoki pesymizmu i burz duchowych z powtórniemi, słabszemi odtworzeniami wizji przedświtowych i publicystyką rymowaną, cechującą ostatni okres wyczerpania twórczości i natchnienia, rozpoczynający się rozwekłą polemiką ze Słowackim w „Psalmie żalu”, znajdujący swój wyraz charakterystyczny w rozprawach „Dnia dzisiejszego” i wiecu narodów, zamykającym fragmenty „Niedokończonego poematu”. Jedynie w „Resurrecturis”, dzięki zwięzłości i pięknu moralnemu tej syntezy wieszczkich przetróg, utrzymał się Krasiński na stanowisku poety—myśliciela i nauczyciela.

Chwila zgonu poety zesłała się z budzącem się na nowo życiem narodowym na tych obszarach ziem polskich, które zostawały dotąd pod najsilniejszym uciskiem. Wojna krymska (1856 r.) i wojna włoska (1859), osłabiwszy państwową siłę Rosji i Austrii, wywołały zmiany w systemie rządzenia, pozwalające odechnąć gnębionym ludom. Tryumf sprawy włoskiej podziałał podniecająco na społeczeństwo polskie, które w wizjach „Przedświtu” znalazło najwymowniejszy wyraz swych nadziei i wskazówkę drogi, wiodącej ku ich ziszczeniu. Ta wyjątkowa w dziejach ruchów ludowych podniosłość, powaga, religijność, idealizm, solidarność i spójność społeczna, cechujące ruch narodowy w 1861 r. i latach następnych, urzeczywistniają w wielu najpiękniejszych chwilach i postaciach tego ruchu, w duszy takiego wodza, jak Traugutt—wcielenie i urzeczywistnienie idei i ideałów Krasińskiego z epoki „Przedświtu” i „Psalmów”. On był wtedy duchowym wodzem narodu. I dziś znowu, po świeżych porywach, złudzeniach i zawodach, w jego podniosłych, mądrych i prostych zaleceniach, streszczonych w testamentie, zostawionym „Resurrecturis”, znaleźć możemy i po krzepienie moralne, i drogowskaz najpewniejszy w dążeniu ku lepszej przyszłości, w którą wierzył z tak niezłomną siłą i ufnością wieszcz „Przedświtu”.



## Wielka fundacja.

Wielka fundacja naukowa ś. p. Erazma Jerzmanowskiego spotkała się z powszechnym uznaniem, jako poważne, rozumne i przewidujące zaspokojenie potrzeb nauki polskiej w granicach, niebywałych dotychczas.

Warunki, w jakich odbywa się na ziemiach polskich, a przede wszystkim w naszej dzielnicy, wszelka praca naukowa, należą do wyjątkowych, nie znanych gdzieindziej. Wszędzie jednostka, poświęcająca się nauce, otrzymuje pomoc od państwa i społeczeństwa, spotyka na swej drodze wszystkie ułatwienia, poczynając od bogato wyposażonych warsztatów pracy, jak biblioteki, laboratoria, kliniki i t. d., kończąc na środkach materialnych, które, dostarczone w postaci czy to stypendyów, czy odpowiedniego wynagrodzenia za pracę, usuwają z jej drogi troskę o chleb powszedni i dają jej konieczną dla człowieka nauki niezależność. U nas, przeciwnie—droga naukowa jest swego rodzaju Kalwaryą, po której iść trzeba z poświęceniem, zaparciem się i wyrzeczeniem niemal wszystkiego.

Jest to niewątpliwie jeden z powodów, dla których nauka polska rozwija się słabo, a prace uczonych polskich nie mogą współzawodniczyć z pracami Anglików, Francuzów i Niemców, wzbogacających nieustannie nowymi zdobyczami dorobek cywilizacyjny ludzkości.

To samo powiedzieć można o naszej literaturze i o naszej sztuce. Warunki, w jakich się one rozwijają, są mniej, niż pomyślne, a w skutek tego plon, jaki dają narodowi własnemu i ludzkości, jest o wiele niklejszy, niż mógłby być w stosunku do naszych sił i zdolności.

Z tych oto względów wszystko, co w jakikolwiek sposób przyczynia się do stworzenia lepszych warunków dla rozwoju nauki, literatury i sztuki, jest dziełem wielkiego znaczenia dla naszej przyszłości i dla stanowiska naszego w rodzinie ludów cywilizowanych.

Świat liczy się obecnie z nami mało, uważa nas za naród małej wartości, nie ma dla nas nic, oprócz jałmużny współczucia, bo nie widzi owoców naszej pracy, bo mu nic nie dajemy takiego, co wzbudzałoby szacunek i uznanie, bo jesteśmy mu wprost... niepotrzebni. Stosunek ten zmieni się jednak odrazu z chwilą, gdy nasza praca zacznie wchodzić do ogólnego bilansu cywilizacji zachodnio-europejskiej, gdy zdobycze nasze będą tam notowane i poczesne wywalczą sobie miejsce.

I nie jest to wcale rzeczą do osiągnięcia niemożliwą. Nie należymy bynajmniej do narodów „mniejszej wartości”, nie jesteśmy skazani na wieczne karmienie się odpadkami z cudzego stołu, na przeżuwanie i trawienie owoców cudzej pracy. Geniusz naszej rasy nie należy do ostatnich. Umysłów zdolnych, lotnych, wzbijających się wyżej, talentów ponad miarę przeciętną, aspiracji głębszych—jest wśród nas poddostatkiem, a świadczy o tem choćby fakt, że, mimo warunków niepomyślnych i wprost wrogich, nie opadły nam całkowicie ręce, ale, bądź co bądź, idziemy naprzód.

Można też niemal z całą pewnością twierdzić, że okoliczności pomyślniejsze w krótkim przeciągu czasu dałyby już wyniki poważne, że zapewnienie nauce polskiej, literaturze i sztuce takiej opieki, jaką mają gdzieindziej nauka, literatura i sztuka ze strony państwa, w ciągu życia jednego tylko pokolenia wypełniłoby już wiele braków obecnych.

Zanim to nastąpi, zanim uzyskamy kiedykolwiek możliwość zaspokajania naszych potrzeb cywilizacyjnych i kulturalnych na drogach właściwych, niepospolite usługi odda nam niewątpliwie fundacja Jerzmanowskiego.

Z chwilą, gdy milionowy ten zapis wejdzie w życie, gdy odsetki od niego zaczną być fruktyfikowane w sposób zgodny z wolą zapisodawcy, co rok przybędzie Polsce jeden pracownik, mający *podstawę* materialną, skromną, ale pewną do dalszych swoich poczynań, do dalszych wysiłków i do dalszej walki pod zaszczytną chorągwią pracy humanitarnej.

Z. D.

## NIEMA.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Choć wiem, że, gdy ten numer *Tygodnika Ilustrowanego* dojdzie do rąk czytelników i nadozobnych (koniecznie) czytelniczek, to już będzie po harapie, chciałem powiedzieć: po karnawale, jednakże... Jednakże tyle się u nas teraz pisze o „rzeczach, których niema”, że pozwolę sobie uciąć „krakowskiego” na temat kuligowych wspomnień! Niech tam!

Jedzie kulig! jedzie! suną węzłem sanie,  
„Starosta” na przedzie, dziewczki—malowanie!  
U „młodego” pióra, u „młoduchoy” wianek,  
Grajków cała fura, miodu pełen dzbanek!  
Pasiki kowane, podkówki ze stali!  
Piersi rozśpiewane... Kulig! kulig wali!  
Hej! wrota ściągajem! Witajcie, sąsiedzie,  
Starym obyczajem... Kulig! kulig jedzie!  
Starym obyczajem, co go w sercu nosim...  
Hej! serca ściągajem! o gościnę prosim!  
Gospodarzu miły! Przyjm-że „młodą parę”...  
Hej, grajku! co siły! Od ucha...

Fanfarę!

„Pije Kuba do Jakóba”—Grajek wygiął szyję,  
Basetlista zatarł czuba—„Tego we dwa kije”,  
Huczają basy! rzną skrzypice! aż ziemia zadrżała!  
Leci echem w okolice: „Kompanija cała!”  
Witajcież mi! proszę dalej! Czem chata bogata...  
Służba! żywo! z dużej sali! Wynieść co do grata...  
Będzie wszystkim w tańcu luźniej... Nie puszcze  
na sucho!  
Panie „młody”, twoja później... Teraz ja z młoduchą!



KULIG DAWNY

ALFRED W. KOWALSKI

Suną pary za parami,  
Idzie taniec z przyspiewkami!  
Jeno miga, jeno dzwoni!  
Jeno nuta nutę goni...  
Nuta ukochana,  
Danaż! moja dana!  
Idzie taniec... skrzypki grają...  
A tu stoły zastawiają,  
Pan „starosta” siadł przy misie,  
Wznosi kielich: Kochajmy się!  
Służba z batów pali,  
Aż oddaje w sali,  
Aż się śmieje echo  
Pod szlachecką strzechą!

Tak bywało jeszcze przed laty. Dziś i „kuligi” należą już do wspomnień. „Niema!” Jak wielu rzeczy, których *niema*.

Znasz, czytelniku, pyszny wzorek pana Franciszka (Kostrzewskiego) z podpisem: „będzie taki mostek, co go niema”.

Podpis powyższy możnaby bez grzechu do naszych dróg, zwłaszcza kołowych, zastosować.

Jeździ się dziś, jeździło się dawniej, boć przysłowie powiada: „niema złej drogi do swej niebogi”, a przysłowia są mądrością narodów, ale i niebodge czasem musi się dyabelnie przykrzyć... czekanie!

Niechże, dajmy na to, jaka „nieboga” mieszka w okolicach Działoszyc, gdzie lekkim wózkiem w czwórkę mili w pół dnia nie ujedziesz, albo na Hrubieszowskich borowinach, albo choćby w gubernialnym Płocku!

Żebyś kochał, jak Kmicic Oleńkę, jak Or-Or „Stare miasto”, lub niżej podpisany wieś polską, na nie! gdy naprzykład w karnawał Wisła puści... Nie sposób się dostać do gubernialnego miasta Płocka. Jedyna komunikacja latem—wodą, a zimą—po lodzie! Ale na to potrzeba kilkunastu stopni mrozu. W razie odwilży lub gdy kra idzie, choćby sercem gorzał, będziesz przebierał tylko nogami na brzegu od Radziwia, a „nieboga” u tumskiej góry.

Bo i w gubernialnym Płocku „jest zimą taki mostek, co go niema”..., jak mawiał pan Franciszek.

KAZ. LASKOWSKI.



DROGA PO LODZIE DO PŁOCKA.



## WIECZORY TEATRALNE

## i MUZYCZNE.

Nowy utwór dramatyczny Kazimierza Zalewskiego.—Przedświt nowej ery naszego teatru dramatycznego.—P. Józef Kotarbiński zostaje kierownikiem literackim dramatu i komedyi.—Zapowiedziane nowości repertuarowe.—„Cyrulik sewilski” i „Zemsta nietoperza”.—Nowości repertuarowe Teatru Małego.—Rosenthal i Kubelik.

Gdyby o dni kilka opóźniono wystawienie „Dla rubla”, mielibyśmy premierę jubileuszową Kazimierza Zalewskiego.

W pierwszych dniach marca r. 1869 go w tychże warszawskich Rozmaitościach grano pierwszą sztukę Zalewskiego, jednoaktówkę „Bez posagu”, o której tu, na tem miejscu pisał przed czterdziestu laty stały ówczesny recenzent teatralny *Tygodnika Illustrowanego*, Wacław Szymanowski, że „przeprowadzona gładko” i że „podołała się”...

Od tego debiutu dwudziestoletniego studenta Szkoły Głównej upłynęło wiele... wiele teatralnych zmian i przemian zarówno na szerokim Bożym świecie, jak tu u nas, w skromnej antykamerze Europy.

Czasu fala potężna poroztrzasała i pozmiałała sporo dokoła nas—a i nas samych... ba! nie przerobiła z pewnością w Aniołów, lecz, jak drzewa pod jesień, osypała wieloma liśćmi powiędłymi. Czulość i wrażliwość na niejedno utraciliśmy. W zamian przybyła nam mądrość doświadczeń, oraz wybredność wrażeń i gustów. Wietrzyk byle jaki chybaż nami dziś już nie zachwieje, a ile że zwolna podrasła nam czoła coraz wyżej i wyżej, przeto dalsze, szersze dziś niż przed laty ogarniamy widnokreśli.

Nie wiem, czyli wielu z nas przyglądało się sobotniej premierze z tego retrospektywnego jakby lotu ptaka, gdyż zapustna była to właśnie sobota, a wszelkie zwroty na drogę przebytą nie wolne są od melancholii, nic nie mającej wspólnego—z karnawałem.

A nowa sztuka Zalewskiego, wzięta ściśle według kamertonu całej jego dotychczasowej twórczości dramatycznej. Teza społeczno-moralno-obyczajowa stanowi jej podwalinę (nie gońcie za rublem, nie wchodźcie w kompromisy z sumieniem i etyką, aby się utrzymać w byle jaki sposób—przy... rublu!); przywary najaktualniejsze wychłostane dosadnie; postacie z życia wzięte, scharakteryzowane wyraziście; akcja puszczona w bieg wprawną ręką, skoncentrowana w Wielkim Banku, stanowiącym centralę sztuki, a „intryga” przeprowadzona przejrzysto—może nawet ze zbytnią prostotą, hamującą napięcie dramatyczne.

Tematem zasadniczym sztuki jest: szlachetność młodego Wojzgirda, odrzucającego wspaniałą posadę w Wielkim Banku, albowiem nie chce jej zawdzięczać protekcji rozmiłowanej w nim baronowej, głównej akcyjniczki i przeto trzęsącej instytucją, w której zarządzie zagnieździł się stek plugawstw i malwersacyi. Do reform tedy w Wielkim Banku nie przychodzi. Wszystko w nim po zostaje „po staremu”. *Zycie*—nie dało wyrzucić siebie z utartych torów.

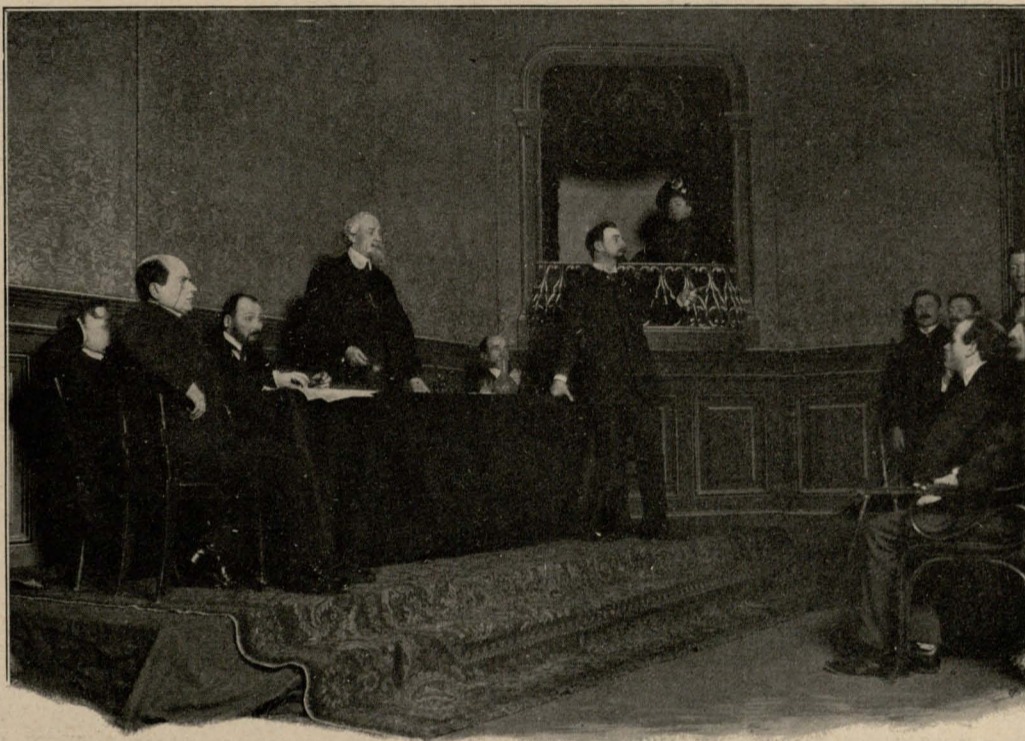
Grano „Dla rubla” z precyzyą niemałą, powiedziałbym: z pietyzmem dla autora „Naszych zięciów”, „Górą nasi!”, „Małżeństwa Apfel”, tylu

a tylu dzieł scenicznych, które w dziejach teatru naszego chlubnie zajęły miejsca—na zawsze.

Dla teatru zaś naszego dramatycznego bodaj że lada moment nastanie całkiem nowa era.

Powiedzieć trzeba bez ogródek i z zupełną dobrą wolą, żeśmy oddawna, od bardzo dawna nie mieli Dyrekcyi Teatrów, tak zapobiegliwej o dobro i doskonalenie się sceny dramatycznej warszawskiej, jak obecna. Wystarczy podkreślić objaw wręcz—niebывały: ogłoszenie przez Dyrekcyę Teatrów konkursu na utwór dramatyczny polski, co lada dzień ma nastąpić, ile że organizacyjne narady już się rozpoczęły. Drugim znaczącym objawem jest mianowanie kierownika literackiego w osobie p. Józefa Kotarbińskiego, wytrawnego artysty, wybitnego krytyka literackiego, doskonałego znawcy piśmiennictwa polskiego i zagranicznego.

Najtrafniejszy to wybór. Ani chwili nie wą-



„Dla rubla” dramat K. Zalewskiego. Akt III. Posiedzenie akcjonariuszów Wielkiego Banku.

pimy, że wpływ p. Kotarbińskiego, długoletniego kierownika świetnego teatru krakowskiego, nowe życie tchnie w ruszenie się sceny naszej dramatycznej—*ad astra*.

Uplanowany już i zatwierdzony piękny krok naprzód: wystawienie „Makbeta”, „Beatrix Cenci” Słowackiego, oraz nowej komedyi Grubińskiego „Pijani”. A wobec licznych dowodów wręcz znakomitości reżyserji naszej, spoczywającej w doświadczonych rękach pp. Kamińskiego i Sliwickiego, wobec pocztu pierwszorzędných artystów, w których obecnie teatr nasz obfituje, pewność mieć możemy, że... koncertowo wypadnie ta „muzyka przyszłości”, którą Dyrekcyja zwolna, ale wytrwale i zapobiegliwie organizuje.

Rozpęd tedy, co się zowie, bierze teatr nasz. Rozpęd też bierze i publiczność nasza teatralna, przepełniając teatry—pomimo karnawałowej pory.

Na „Dla rubla” Zalewskiego—w sali Rozmaitości tłok. Na „Cyruliku Sewilskim” z Battistinim-Figarem w Teatrze Wielkim—pełno do ostatniego miejsca. Teatr Nowości—wyprzedany. Wznowiono tam arcydzieło „króla walców”, Jana Straussa, „Fledermaus”, a gdy p. Ćwiklińska zaśpiewa:

O-ku-la-ry włoż,

Po-patrz wszecz i wzdłuż!

no, to któżby nie pobiegł popatrzeć—zwłaszcza jeżeli mu wzrok dopisuje nawet bez okularów? I, dalipan, jest na co popatrzeć—nie wspominając o słuchaniu! Są, którzy utrzymują, że „Zemsta nietoperza” jest nie tylko typowo-klasyczną (rok 1874) operetką, lecz i najznakomitszą. Hm... a Offenbach? Lecz—nie spierajmy się. *Ambo meliores*, czyli: obaj mistrze, a *dobra ope-*

retka to wcale nie: mała Sztuka, lecz Sztuki mały kawałek. Nie przymierzając: wierszyk liryczny w stosunku do poematu.

Gawalewicz wrócił z zagranicy i nuż palić i palić premierami. Już to ruchliwości Małemu Teatrowi nie odmówić.

W ciągu ostatnich paru tygodni dano tam po kolei: komedję satyryczną L. Thomy, „Moralność”, wcale a wcale niepowszednią, z wręcz znakomitym aktem drugim, graną doskonale. Niezmiernie cięta satyra na świętoszkostwo i obłudę; *specimen* najświeższej twórczości dramatycznej niemieckiej. Następnie jednoaktówkę L. Fuldy, popularnego dziś w Niemczech autora „Talizmanu”, zręczną, efektowną, nastrojową. Wreszcie: w równie wzorowem odtworzeniu scenicznym, dwie odsłony prze-cierpkiego ironicznego realizmu rosyjskiego najświeższej daty: „W drugim podwórku” Czirikowa, którego komedya „Biała Wrona” doznała tymi czasy wielkiego powodzenia w Moskwie. Br!... co za obraz! Co za życie! Co za świat! A ile w tem wszystkim rozpacznej niemocy, beznadziejnego pesymizmu, skargi żywiołowej, grozy koszarowej i prawdy brutalnej!

W obfitym repertuarze rosyjskim niema dziś utworu, odbijającego: *całe* społeczeństwo rosyjskie obecne. Nie odbija go też i sztuka Czirikowa. Należy pamiętać o tem. Lecz zasadniczy *ton* duchowy i życiowy bardzo o bardzo szerokich sferach społeczeństwa rosyjskiego w obrazie Czirikowa—jest. Stąd wartość sztuki—poza niepowszednimi cechami talentu i artyzmu. Wrażenie wywiera silne...

Komu zaś dbałość o nerwy przypisywała wrażenia i wzruszenia mniej mocne, jeżeli już nie kojące i łagodzące, jak harfa Dawida, ten mógł w każ-

dej chwili znaleźć je w przybytku muzyki nieustającej, w wielkiej sali Filharmonii, gdzie np. przed kilku dniami zachwycał bajeczną techniką swoją Rosenthal i powtórnie dał się słyszeć Kubelik.

Muzyka bowiem tu u nas „w syrenim grodzie” kwieciami kwitnie, nie przekwitającym nigdy. Bez względu na porę roku.

CZESŁAW JANKOWSKI.



M. M. POZNAŃSKI:

BOA.

Z TRYOLETÓW.

O, jak mi dobrze! Rozwarł chwytny skręty  
Boa-dusiciel, polip mego smutku.

...Słońce. Zagrały blaskiem ros dyamenty,

I mgieł się snują białych senne skręty...

Stój, chwilo! Patrzaj, świat już w baśń

zakłęty!

Mów, o mów do mnie. A mów pocichutku,

Bo wnet nas znowu wtuli w swoje skręty

Boa-dusiciel, polip mego smutku.



Chinka w stroju weselnym.

## Z krwawych pól mandżurskich.\*)

WSPOMNIENIA LEKARZA.

Z krwawych pól mandżurskich przyszła do nas wieść, wieść pogrobowa o strasznej wojnie, na tych rozległych równinach stoczonej.

Przyniosła z sobą jęk tysięcy rannych i umierających, przywiodła ponure, tajemnicze widmo tragizmu dziejowego, którego zagadkę rozwikła, wewnętrzną treść rozpozna kiedyś historia.

Słucha się tego, jak baśni: daleko, hen daleko, za siódmą górą, za dziesiątą rzeką...

Ale nie! To nie baśń!... Bo widzieliśmy tych, co opuszczali ojczyste strony, dom i rodzinę, wszystko, co ukochali — i szli walczyć i umierać w Porcie Artura, nad Jalu, pod Mukdenem, na wodach Pacyfiku.

Ożyły w nas te wspomnienia smutne. Bo oto ukazała się w Krakowie, w oficynie drukarskiej W. L. Anczyca tłoczona, w piękną szatą wydawniczą zdobna, ciekawa książka. Tytuł — „Wspomnienia z Mandżuryi”. Autor — z nazwiska nieznanego Polak, lekarz wojskowy, ukrył swe oblicze pod maską inicjałów K. G.

Mówimy zazwyczaj, że o wojnie, a i wogóle o każdym doniosłym wypadku dziejowym, najmniej wiedzą ci, którzy biorą w nim bezpośredni udział. I słusznie mówimy: albowiem, by objąć wzrokiem całość jakiegoś obrazu dziejowego, musimy się od niego, w czasie i przestrzeni, oddalić, by zyskać właściwy punkt widzenia, pozwalający oglądać wszystko oku, a umysłowi — wysnuć pewną syntezę. Inaczej tracimy poczucie perspektywy.

Te same zastrzeżenia dadzą się, oczywiście, zastosować i do niniejszej książki. Autor jej, nie literat zawodowy, ani dziennikarz, ale człowiek inteligentny i dobrze władający piórem, nie silił się bynajmniej na wytworność ani efekty stylowe: opisał poprostu a żywo to, na co patrzył, czego doznał, co przemyślał.

A pomimo to książka daje dużo do myślenia.

\*) Rysunki własnoręczne autora książki.



Domek składany, kartonowy w Kandiafu.

Przedewszystkiem — była to pierwsza wielka wojna, prowadzona z zastosowaniem wszelkich najnowszych zdobyczy techniki wojskowej, od najbardziej wydoskonalonych materii wybuchowych do telegrafu bez drutu. Maluczko — a wojna doprowadzona będzie *ad absurdum*, stanie się czemś tak nieludzkim i okrutnym, że sama się, jak bazyliżek, własnym żądłem zabije.

Znikł bezpowrotnie urok osobistego bohaterstwa, co „pośród boju i szczęku oręża” zdobywało sobie imię nieśmiertelne Rolandów, Bayardów, Duguesclinów, Czarnieckich. Niema już rycerskiego gestu, zagasły heroicznego samoposwiecenia aureole. Dziś krocie ludzkie kopią nory podziemne, jak krety, parki artyleryjskie z matematyczną ścisłością biją w odległe forty, niewidzialne nie uzbrojonemu oku. Minęły czasy, kiedy kilka secin husarzy skrzydlatych druzgotwały w szalonym pędzie wielotysięczne nieprzyjacielskie szyki.

— Co to za wojna — skarżył się autorowi „Wspomnień” pewien inwalid — nikogo nie widać, a żołnierze padają, jak muchy. Byłem pod Laojanem, byłem pod Sza-che, a ani jednego Japończyka nie widziałem. Pułk nasz tymczasem stracił połowę żołnierzy i wszystkich prawie oficerów...

Cóż po brawurze: „jeden za dziesięciu stanie”, kiedy w dzisiejszej wojnie nie szeregowcy walczą i nie oficerowie, ale sztaby generalne — i ich plany. Dzisiejsze kampanie rozgrywają się na mapie, przy biurku: kto lepiej wszystko obliczy, przewidzi, lepsze posiada mapy i środki wywiadowcze, ten może spać spokojnie, pewien zwycięstwa.

I zaiste, trzeba wielkiej inteligencji, zimnej krwi, wiedzy fachowej, bystrości umysłu i panowania nad sobą, aby kierować olbrzymią machiną armii półmilionowej, rozrzuconej na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów. W armii takiej każdy żołnierz powinien czuć się kółkiem dobrze funkcjonującego mechanizmu, powinien zdawać sobie sprawę z tego, że każdym jego krokiem kieruje wola, niezłomna i świadoma sama siebie.



Kozak kubański.

wani ku wspólnym celom, są potęgą niezłomną, gdy rozczarują się do swoich naczelników, stracą grunt pod nogami i poczują się pozostawionymi samym sobie, przeradzają się w jakąś bezrozumną potęgę żywiołową, w jakiś chaos przedstworzony, bezsilny, a przecież okropny.

Fatalny odwrót z pod Mukdena, tak żywo odtworzony, skierował nasze myśli w tę stronę. I pomyśleć: krocie ludzi, ogarniętych strachem panicznym, rzucających się nerwowo ku ucieczce na każdy odgłos strzału karabinowego, na okrzyk alarmujący: „Japończycy idą!” — to niezmiernie ciekawe objawy psychiki tłumu, obłędu zbiorowego, które posłużą kiedyś za materiał naukowy Tarde'owi lub Ferreremu przyszłości.

Wistocie, obraz tego splątanego tłumu ludzi, wozów i koni, gdzie każdy kogoś lub czegoś szuka — i nie znajduje, bo nikt o niczem nie wie i nie chce wiedzieć, byle naprzód, byle ująć z duszą, gdzie jeden drugiego potrąca, spycha, tratuje, depce, na nic i na nikogo nie bacząc, stanowi niewątpliwie najciekawszą kartę „Wspomnień” bezimiennego autora.

Nie widzi on wprawdzie samej bitwy, ani pod San-de-pu, ani u wrót Mukdena, ale słyszy jej odgłosy, pa-



Ksiądz Chińczyk z Tuguczendzy.

trzy z sercem zbolełem na jej wyniki.

„Ten widok poszarpanych członków — pisze o rannych w swoim szpitalu polowym — pogruchotanych kości i podziurawionych czaszek, z których wypływał zmieszany z ziemią, zakrwawiony mózg, ścinał krew w żyłach. Pracowałem bez wytchnienia przez całą noc, usta mi wyschły, jakiś spazm nerwowy ścisnął za gardło, a w całym ciele czułem niezwykle odprężenie”...

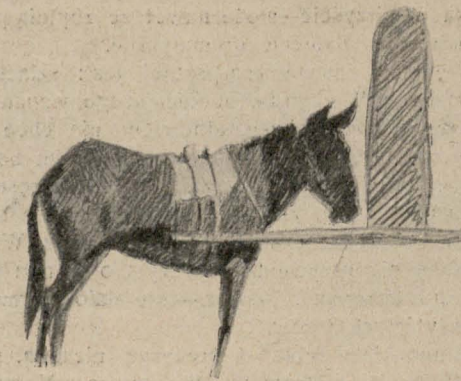
Straszna jest wojna dzisiejsza, zaprzeczenie wszelkiego humanitaryzmu!

Ale nie! jest i humanitaryzm: rany, zadane kulami dzisiejszemi, szybko się goją. Oto pyrrusowe zwycięstwo — miłości bliźniego!

Żadna wojna nie wydała tylu obłąkanych. I nie dziw: nerwy dzisiejszego człowieka nie zniosą tych tortur. „Czerwony śmiech” zabija nie tylko ciało, ale i duszę. I nasz autor, choć prawie zawsze pozostający poza obrębem bezpośredniego niebezpieczeństwa, bliski był rozstroju nerwowego, kiedy to „każda salwa, każdy wybuch bolesnym echem rozlegał się w mózgu, który napróżno starał się ująć w karby rozbijałą wyobraźnię, wywołującą nieustannie tragiczne obrazy”.

A kiedy cisza zalegnie rozległe, porośnięte gaołanem równiny, dręcząca cisza niepokoju i oczekiwania, wtedy „naprężone, w poczuciu nadchodzącej burzy, do ostatnich granic nerwy odmawiają posłuszeństwa, jakas bezgraniczna tęsknota ścisła za serce, a umysł gubi się w najfantastyczniejszych dociekaniach”.

Ale nie z samych tylko krwawych kart składają się ze wszech miar ciekawe „Wspomnienia z Mandżuryi”. Obok rozdzierających duszę obrazów śmierci i zniszczenia, obok żywych, czasem humorystycznych epizodów z życia obozowego, znajdziemy tu też barwne sceny rodzajowe, tem bardziej interesujące, że spotykają się tu w swoisty a niezwykle sposób dwie kultury: europejska, reprezentowana przez przybyszów z Zachodu, i azjatycka, w postaci miejscowego żywiołu, Chińczyków. Sceny uliczne z Mukdena, odwiedź u misjonarza, popisy kuglarzy chińskich, doskonały epizod gaszenia pożaru przez straż chińską — wszystkie te obrazy mają swój odrębny charakter, a nawet swój urok, chociaż o szacie stylowej autor nie troskał się zbyt wiele.



Muł, zaprzężony do nosz.

## Dwa monumentalne gmachy w Poznaniu.

Po długich zabiegach stanął przy ulicy Wiktoryi nowy wspaniały budynek o czterech piętrach, którego szczyt zdobi tympanson z napisem: Towarzystwo Przyjaciół Nauk, a poniżej, w górnej części portalu, widnieją słowa: Muzeum imienia Mielżyńskich. Dwa te godła długą głoszą historię 50-cioletniej przeszłości pracy kulturalnej Wielkopolski, a ściślej związane są z powstaniem, rozwojem, upadkiem i powolnym dźwigniem się znów umysłowości w najstarszej dzielnicy Polski w ubiegłym stuleciu. Dość wspomnieć nazwiska Działczyńskich, Mielżyńskich, Libeltów, Cieszkowskich i innych koryfeuszów wiedzy, których nazwiska są dotąd dumą naszej cichej dzielnicy.

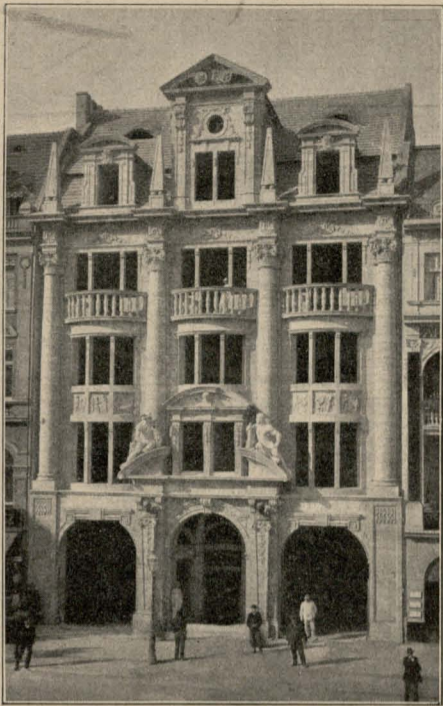
Biusty ich zdobiją nową salę historycznych posiedzeń Tow. Przyjaciół Nauk: oby duch ich zstąpił i zagościł między nami, aby w rozumnym połączeniu tradycji z świeżymi zdobyczami wiedzy i sztuki promienie dobroczynnego światła przeniknęły mroczną powłokę Wielkopolski.

Narazie stworzony jest warsztat pracy i uprzętnione źródło badań, i to dzięki ofiarności wyłącznie naszego społeczeństwa, które w krótkim czasie złożyło potrzebną sumę 300,000 przeszło marek.

Bezinteresownie dostarczył planów i kierował budową architekt poznański, p. R. Sławski.

Warunki materialne nie pozwoliły na zużycie części frontowej gmachu w interesie bezpośrednim Towarzystwa. Przeznaczono go narazie na mieszkanie czynszowe, umożliwiono jednakże połączenie ich z muzealnymi tylnymi częściami w kwadrat zbudowanego domu. Dlatego front zachowany ma charakter monumentalnej budowy. Odrazu wprada w oko trzypiętrowy portal o silnie występujących kształtach, wysokich pilastrach i wybitnie przeprowadzonym połączeniu obramień okien. Z pięknego wjazdu, zdobionego doryjskimi kolumnami o belkowanym i kasatenowanym stropie, prowadzi na lewo drzwi do publicznej sali posiedzeń, odmalowanej w kolorze białym, ozdobionej wolutami, na których znajdują się biusty założycieli i kierowników Tow. Przyjaciół Nauk.

Na prawo wstępujemy do całego szeregu sal, obiegających wokół frontowy, boczny prawy i tylny budynek. Ślicznie przedstawia się tutaj perspektywa dwu rzędów białych, prostych, majestatycznych łuków. Sale te mieszczą zbiory archeologiczne, historyczne, etnograficzne i zabytki sztuki



Bank przemysłowców w Poznaniu.

ki stosowanej. W sześciu znakomicie oświetlonych salach suterren jest dział zbiorów przyrodniczych.

Na pierwszym piętrze mamy pokój do katalogów, czytelnicy i zbiór rękopisów, dalej obszerne lokale bibliotek. W tylnym budynku i bocznym prawym skrzydle, tuż za czytelnią, rozpoczyna się szereg sal o skośnych ścianach—celem lepszego wyzyskania światła,—przeznaczonych na galerię obrazów.

Piętro drugie obok biblioteki mieści wystawę i bardzo bogate zbiory sztychów, magazyny, oraz dziewięć sal z skośnym światłem górnym, które, zarówno jak duża sala trzeciego piętra, przeznaczone są na obrazy.

Z głównego portalu prowadzi wprost ganek przez widne, zdobione klombami i drzewami podwórze do tylnego muzealnego budynku, w którym na lewo, w starej, zachowanej części dawnego muzeum, jest sala posiedzeń bardzo czynnego wydziału lekarskiego, oraz jego biblioteka. W sali frontowej odbywa posiedzenia wydział historyczno-literacki, ekonomiczno-prawniczy i przyrodniczy. Cały gmach ma światło elektryczne i ogrzewanie centralne.

Pierwotnie „Spółka Pożyczkowa”, później przezwana „Bankiem Przemysłowców”, powstanie swe w 1861 r. zawdzięcza Towarzystwu Przemysłowców, zawiązanemu w 1848, a odświeżonemu w 1860 r., dzięki wybitnym ówczesnym mężom, jak Hipolitowi Cegielskiemu, A. Krzyżanowskiemu, Ludwikowi Rzepeckiemu, Władysławowi Nehringowi i w. in. Ci sami członkowie zarządu zasiadali w Radzie nadzorczej Spółki, która z skromnych początków z biegiem lat rozwinęła się tak potężnie, że dzisiaj, krótko przed owym 50-letnim jubileuszem, mogła sobie z osobnych rezerw wystawić gmach za 320 tysięcy marek.

Dzisiaj jest to najokazalszy budynek w Poznaniu i prawdziwa ozdoba starego rynku. Zastosowany do warunków kamienic okolicznych, o

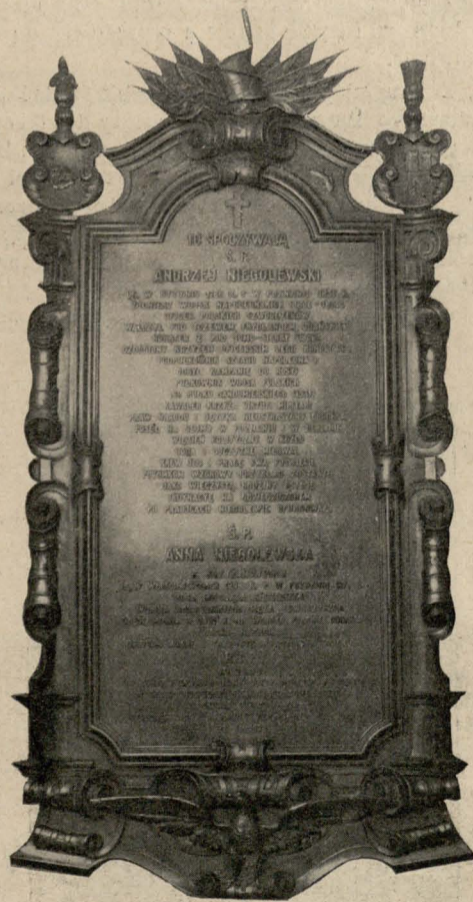
wązkich fasadach, a wysokich szczytach, imponuje swą monumentalnością i artystycznym wykonaniem szczegółów. W stylu polsko-jezuickiego baroku zbudowany jest cały z gruboziarnistego wapienia, który umożliwia bardzo plastyczne wykonanie form i trwałością dorównywa granitowi. Cały gmach podtrzymują pilastry z półokrągłymi kolumnami, z których występują znów koliste erkery i okna. Portal, jeszcze silniej wysunięty, zdobiony zewnątrz dwie hermy, uwieńczone biustami brązowymi Staszica i Marcinkowskiego, ponad belkowaniem portalu zaś mieszczą się figury Herkulesa, jako symbolu siły i jedności, oraz Hermesa, symbolu przemysłu i kupiectwa. Szczyt, jak tego wymaga tradycyjne budownictwo rynkowe, składa się z głównego dachu i dwu bocznych. Część środkową flankują obeliski, które wieńczą znów kanciaste kolumny. Pola w erkerach kolistych pomiędzy oknami zdobiją płaskorzeźby dłota Władysława Marcinkowskiego: rolnictwo, kupiectwo i przemysł.

Po przestąpieniu progu portalu stajemy w półokrągłej niszy z kopułą i sklepieniem kamiennym, skąd krótkim pasażem dostajemy się do westibulu, krytego szklanym dachem, a mieszczącego obszerne schody granitowe. Droga prowadzi wprost do obszernych sal bankowych, wyłożonych dębowymi boazeriami. Obok nich biegną dokoła skarbcie, oraz lokale dla dyrektorów i urzędników, wszystko oświetlone przez górny dach szklany. Osobnymi schodami wchodzimy z lokali bankowych na pierwsze piętro do sali posiedzeń rady nadzorczej, zbudowanej i ozdobionej prześliznie w stylu zakopiańskim. Ściany, wyłożone drzewem sosnowym, mieszczą od dołu bogate ornamenty ludowe, od góry wolne pola przeznaczone są na widoki starego Poznania, pędzla Wywiórskiego. Do całości dostosowany jest drewniany sufit z bogatymi malowidłami w stylu ludowym.

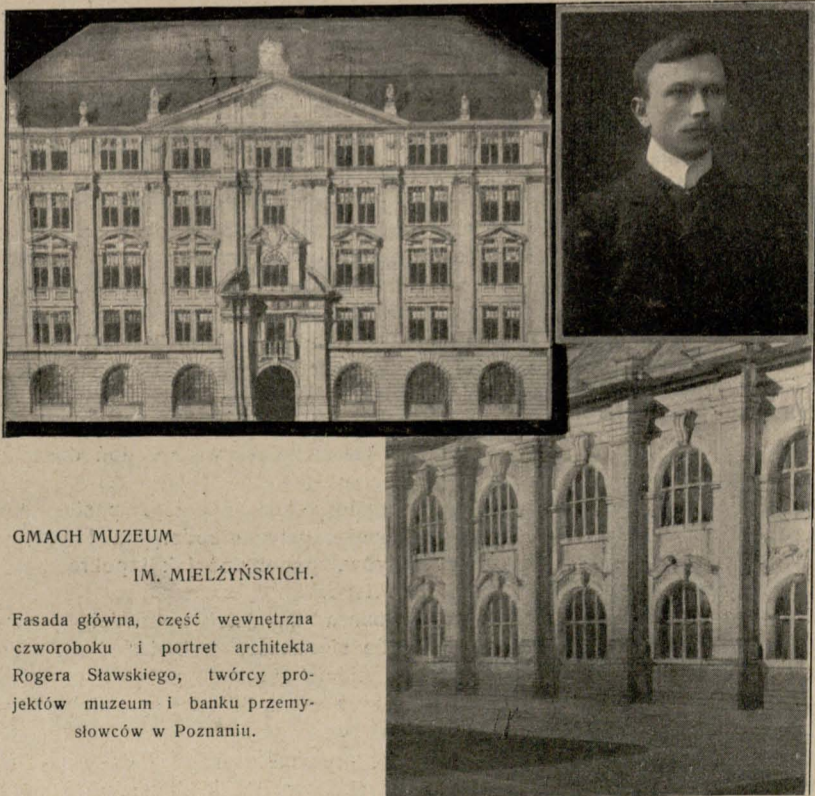
Oba, opisane pobieżnie gmachy zbudował znany zaszczytnie w Berlinie i Poznaniu architekt, p. Roger Sławski, któremu Wielkopolska zawdzięcza już kilka ślicznych kościołów i dworów obywatelskich. Dawniej budowniczy rządowy w stolicy niemieckiej, mieszka dzisiaj jako prywatny architekt w Poznaniu, jest wiceprezesem Tow. przyjaciół sztuki pięknych i cenionym znawcą na polu artystycznym.

T. J.

### UCZCZENIE BOHATERA



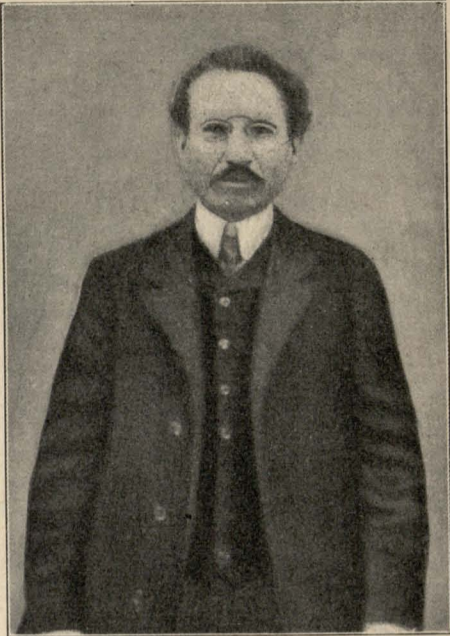
Tablica pamiątkowa, umieszczona w kościele parafialnym w Buku (W. Ks. Poznańskie) na cześć pułkownika Andrzeja Niegołęwskiego, którego zwłoki spoczywają tu obok małżonki. Tablicę wmurowano na pamiątkę setnej rocznicy bitwy pod Somosierrą, w której odznaczył się Niegołęwski.



GMACH MUZEUM

IM. MIELŻYŃSKICH.

Fasada główna, część wewnętrzna czworoboku i portret architekta Rogera Sławskiego, twórcy projektów muzeum i banku przemysłowców w Poznaniu.



MICHAŁ BAKAJ, b. urzędnik „ochrony” warszawskiej, główny świadek w sprawie Borowskiej i Brzozowskiego.

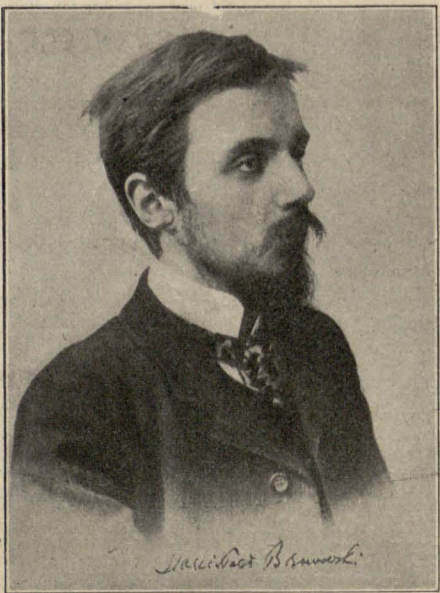
## Okropne dzieje przyniósł nam czas...

Z niezwykłym napięciem śledzi opinia publiczna przebieg obydwóch procesów krakowskich. Jakikolwiek zapadną wyroki, natura ich jest taka, że na zawsze otoczone zostaną mgłą tajemnicy, a przez to dawać będą pole do namiętnych sporów, podobnie jak głośna w dziejach Francji współczesnej sprawa Dreyfusa.

Dlaczego tajemnicze? Bo opierają się na zarzutach, w które uwierzyć i których dowieść najtrudniej. Bo głównym świadkiem jest dawny policyant; poprzednie jego zajęcie nakazuje wprost wszelkie zastrzeżenia i wątpliwości. Usuwa je częściowo tylko wielki autorytet poważnego działacza rewolucyjnego, Włodzimierza Burcewa, składającego za Bakaję niejako kaucję moralną. A Burcew dał już dowody, że nie brak mu przenikliwości: *envers et contre tous* nie wierzył Azewowi i dążył usilnie a szczęśliwie do zamaskowania.

Z drugiej strony trzeba sobie zadać pytanie, dlaczego Bakaj z setek i tysięcy działaczy rewolucyjnych wybrał sobie właśnie Borowską i Brzozowskiego, a nie innych, nie mając z nimi żadnych porachunków osobistych. Muszą przecież w przekonaniu jego istnieć poważne poszlaki; poznaje ich z twarzy. Przed wyrokiem nie można jeszcze poszlak tych nazwać dowodami.

Wybitny pisarz wielkich zdolności, Stanisław



STANISŁAW BRZOZOWSKI.



WŁODZIMIERZ BURCEW, znany działacz rewolucyjny, redaktor pisma *Bytyje*.

Leopold Brzozowski ma fatalną za sobą przeszłość, która nie może pozostać bez wpływu na umysły sędziów. Defraudacja funduszów koleżeńskich pomocy dla studentów, wydalonych z uniwersytetu warszawskiego z powodu znanego protestu przeciwko pomnikowi Murawiewa w Wilnie, fakt, po którym możnaby się spodziewać raczej cichego żalu, aniżeli występowania ze śmiałością i naukami dla wielkich pisarzy i społeczeństwa — to jedno.



JANINA BOROWSKA.

Nie dość na tem. Zamknięty w więzieniu, daje dowód małoduszności, słabości charakteru, składając zbyt obszerne, kompromitujące zeznania. Zapewne, mimo niskiej wartości moralnej tych czynów, jeszcze cała przepaść oddziela je od świadomego wydawania za pieniądze współtowarzyszy pracy rewolucyjnej, ale nie nastroją one opinii przychylnie dla tego, który przed sądem nic nowego i nic ciekawego wobec powodzi szpiegostw i prowokacji, jakie się tu w Warszawie i w Łodzi dokonywały, gdyby nie osoba oskarżonego, gdyby nie należał do tych, którzy w założeniu — jeżeli nie zawsze tak bywa w praktyce — powinni nie tylko piórem, ale i przykładem własnym uczyć społeczeństwo, jak żyć należy. Rozgłos reformatora obowiązuje.

Bardziej jeszcze tajemniczo przedstawia się proces Borowskiej. Pochodzi z Galicji, a wiadomo, jakie przesadne pojęcie o polityce warszawskiej mają mieszkańcy tej prowincji, jak nie różnią ogniw i kół tutejszej maszyny policyjnej. Nie zna zgoła Królestwa ani Warszawy, nie zna naszych stosunków. Nie stykała się nigdy z policją, nawet w charakterze obwinionej i uwięzionej. Uznać jej winę to znaczy przypuścić jakąś zupełnie potworną premedytację, bodaj nawet wstąpienie do partii w tym celu jedynie, by ją zdradzać. Typ zresztą zupełnie niezrównoważony. Obnosi wszędzie skargi na męża. Niewiadomo

właściwie po co — chyba uwierzyć, że dla rozrywki po śmierci dziecka — zabiera się do działalności politycznej. Bardziej dziwne jest zaufanie, które nieznana nikomu wstępny bojem w konspiracji zdobywa. Nikt i nic nie wyjaśnia, gdzie Petersona poznała, jakimi drogami do niego w Warszawie trafiła, a pamiętajmy, że rzecz to nietatwa, przy zupełnym braku orientacji. Pole otwarte do najfantastyczniejszych przypuszczeń.

W procesie Borowskiej zapadł już wyrok: przysięgli uznali winę Haeckera; obrońca zgłosił zażalenie nieważności, gdyż najważniejszy świadek, Peterson nie

został przesłuchany. O drugim procesie wiemy, że został odroczony dla zebrania dalszych dowodów. Niechże jak najprędzej zostanie wznowiony, niechże się nie sprawdzą pogłoski, że to odroczenie ma być zatuszowaniem sprawy. Społeczeństwo ma prawo do pewności, do dokładnej informacji, z kim ma do czynienia.



EMIL HAECKER, b. redaktor dziennika *Naprawdę*, oskarżony przez Borowską o potwarz w druku i skazany przez sąd na miesiąc więzienia.

Obydwa te procesy, komentarze polskie do sprawy Azewa, bez względu na rezultat, na wyroki, jakie zapadną, są świadectwem beznadziejnego rozkładu. Jeżeli są winni — straszna deprawacja wśród inteligencji rewolucyjnej; jeżeli nie — nikczemna lekkomyślność władz kierowniczych organizacji. A do tego wszystkiego wrażenie obrzydliwego splątania polskich rewolucjonistów z rosyjskimi policyntami, arbitrowi cudzoziemców w wewnętrznych sprawach stronnictwa polskiego. Zaprawdę, „okropne dzieje przyniósł nam czas”...

## Ostatnie akordy.

Piękny, głęboki, pełen uduchowienia obraz p. Józefa Męciny Krzesza, p. n.

### „Ostatnie akordy Chopina,”

ukazał się w starannej, z wielkim smakiem artystycznym wykonanej heliografurze.

Obraz jest pełen nastroju poetyckiego. Wielki artysta nocą, przy otwartym oknie siedzi przy klawikordzie, wyciągnięte dłonie jakby resztką sił kładzie na klawikordzie, jakby chciał duszę całą, całą tęsknotę długiej tułaczki wyśpiewać. Z przechylonej w tył głowy, z całej postaci, wtulonej w fotel, jakby duch ulatywał — ostatnie tchnienie...

Poza oknem szeroki krajobraz polski, idealny, bo z serca mistrza, pełnego miłości i tęsknoty, wysnuty. Daremno zrywa się doń dusza marzyciela-pieśniarza...

A w ramie okna widnieje postać, kirem okryta. To melancholia, nieodstępna towarzysząca autora preludjów, podobnie jak i pokrewnej mu duszy Słowackiego.

Heliografura ta, dzieło prawdziwej sztuki, wszędzie, gdzie się ukaże, wzbudza żywe zainteresowanie i znajduje chętnych nabywców. I słusznie. Bo stanowić może piękną ozdobę każdego domu polskiego.

Cenę dla prenumeratorów *Tygodnika Ilustrowanego* uzyskaliście rb. 5, z przesyłką pocztową rb. 5 kop. 50.

## Taniec miłości i śmierci.

Każda epoka historyczna symbolizuje się w pewnym szeregu niewiast. Czasy rewolucji francuskiej to czasy głośnych bohaterki różnych: Maryi Antoniny, przedstawicielki ustroju upadłego, pani Roland—oświeconego liberalizmu, Théroigne Méricourt—dzikiego tłumy, Karoliny Corday—reak-

cyi przeciwko okrucieństwu, pani Cabarus, pani Beauharnais—Thermidora i lekomyślnie go życia Dyrektoryatu.

To są figury pierwszoplanowe. Poza nimi stoi tłum kobiet, jak za ścinającymi i ścinanymi szara masa, która niewiele zresztą w swym życiu prywa t n e m

zmieniała, mimo szalejącej naokoło burzy. Mylnem byłoby mniemanie, że podczas Terroru zamarło życie towarzyskie, uliczne, zewnętrzne, w którym tak lubują się Francuzi. Przeciwnie—żywszem może jeszcze biło tętnem.

Bo ludzie bez przyszłości, ludzie, których lada przypadek może jutro rzucić pod gilotynę, śpieszą się do zabawy i do użycia, do horacuszowego korzystania z dnia dzisiejszego, skoro jutro jest niepewne i może być tragiczne. Przedewszystkiem—żywo, prędko i mocno kochają, chociaż może nieco ordynarnie.

Kto dziś zwiedza samotne i ciche galerye Palais Royal'u, widzi gmachy ministeryjne, spokojny i pusty ogród o obszernym dziedzińcu: tylko świetnie uchwycony w ruchu pomnik mówcy ludowego, Kamila Desmoulins'a, wzniesiony na tym tarasie Feuillantów, z którego niegdyś lud paryski płomiennie do broni przeciwko despotyzmowi wzywał, przypomina krwawą i bohaterską epokę. Trudno sobie wyobrazić to targowisko, ten tłok, który panował tam jeszcze za czasów Balzaca, a cóż dopiero wtedy, kiedy należały gmachy do osławionego Filipa Orleańskiego.

Pałac, który zaczął wynajmować częściowo na sklepy, domy gry, domy rozpusty, restauracje, zmienił swoją nazwę. Właściciel z Orleana zmienił się na Egalité, i pałac z królewskiego przemianowany został na pałac Równości. Nie utrzymała się ta nazwa. Dziś po stu z górą latach powrócił do historycznej nazwy Palais Royal'u,

a właściciel jego przeszedł do historii, jako typ księcia nikczemnego, schlebiającego tłumowi dla popularności i przez tchórzostwo, co go nie ustrzegło ani od śmieszności, ani od mimowolnego zresztą złożenia głowy w ofierze hasłom chwili.

Przyjrzyjmy się pałacowi za czasów jego świetności. Wszystko tu sprzyja zabawie. Liczne restauracje o niezbyt wysokich cennikach a urozmaiconych jadłospisach; jeszcze liczniejsze domy gry, właściwie szulernie do ogrywania naiwnych, dają złudną nadzieję łatwego zdobycia złota wszechpotężnego, lub mniej cenionych w oczach gotowych do wszystkich usług dam banknotów; obok sklepy modniarek ubierają te damy—jak najmniej i jak najdrożej, jak najmniej, by nie tracić czasu drogiego, i tak już zajmowanego przez zdejmowanie kunsztownych i olbrzymich... kapeluszy; dalej przystanie przelotnej i opłatnej miłości; wreszcie one same—jej kapłanki, cały niezmiernie liczny batalion Cytery, tłoczący się w galeryach, rozrzucający się wszędzie, biegnący we wsze strony, niby mrówki... niepracowite.

Te kobiety, którym wiek i uroda nie pozwala już niczego spodziewać się od życia, robią pończochę na placu opodal i liczą oczka obok ilości spadających głów. Inne—młodsze, ładniejsze—zapełniają galerye pałacu Równości... do kupienia i sprzedania. Te dwa odłamy kobiet z ludu—to symbole tańca miłości i śmierci, niby konwulsi św.

Wita, który się między niezbyt odległymi placami rozwija.

Taniec miłości! Powiedzmy prosto—rozpusta. Jeżeli wierzyć doniesieniom szpiegów—nazywano ich wtedy eufemicznie „obserwatorami”, a raporty ich nie mogłyby się dziś ukazać w druku—terenem rozpusty były



Filip Pik, karykatura współczesna księcia Filipa Egalité, w talii kart rewolucyjnych.

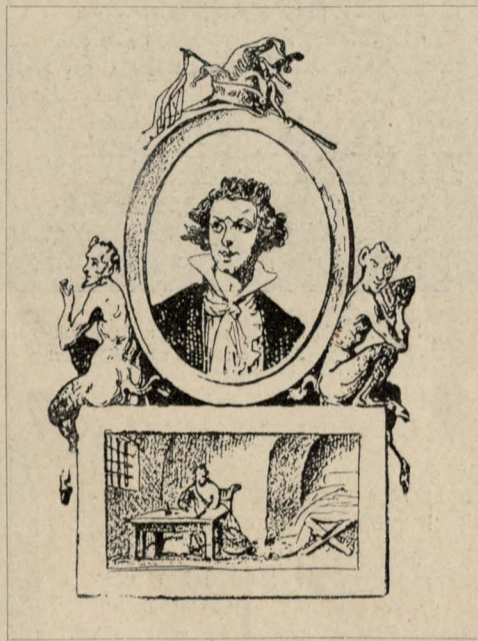
nie tylko samotne pokoiki pałacu Równości, na godziny śpieszącym się wynajmowane, ale i wszelkie ciemne placyki, zaułki, ba — nawet sala widzów trybunału rewolucyjnego. Te raporty bywały bezskuteczne; tyle czasu pochłaniało tropienie prawdziwych i rzeczywistych spisków, że wruszano ramionami na tajne domy gry, na domy schadzek, o ile nie zahaczały o politykę. To też rosły na tym błogosławionym gruncie, niby grzyby po deszczu.

Czasem zahaczano je jednak o politykę. I wtedy nie chroniły podejrzanych potężne stosunki, w alkwowie czy przy rulecie zawiązane. Potężnych miała przyjaciół utrzymująca podejrzany, a bardzo uczęszczany dom gry pani de Sainte Amaranthe; potężniejszych opiekunów—córka jej, „słodka Emilia”, a przecież padły te dwie głowy wśród wielu innych pod słabym podejrzeniem uczestnictwa w spisku na życie Robespierre'a.

Uściski miłosne krwa-

we opromieniały odblaski. Może najsilniej uzeńwętrznie rozpustę na tle krwawych tortur, czyli tło epoki, markiz de Sade. Osławiony—może niesłusznie: obrazy jego fantazy literackiej są niewątpliwie gorsze i jaskrawsze, niż czyny, jakich dopuszczał się w życiu.

Chociaż wiele kochał, niewiele mu przebaczone w życiu, spędzonym przeważnie w wię-



Markiz de Sade, według ryciny współczesnej.

zieniach, na które występami podczas krótkich przerw zasługiwał. Uwolniona go z Bastylli Rewolucja; zamknięty w epoce Terroru na rok tylko, poczem używał najdłuższego, bo siedmioletniego okresu wolności—ostatniego. Za kilka epigramatów politycznych na potężnych chwilę uwięziono go w r. 1801 i nie opuścił już murów celi aż do śmierci w trzydzieści lat później.

Nastąpił dziewiąty Thermidora. Ku placowi rzeczpospolitej zdążył już ostatni wózek ofiar Terroru. Znikły żadne krwi *tricotuse'y*, niewiele zmieniło się w galeryach pałacu zabawy i miłości. Nie zmieniła się treść, uległy zmianie formy, na które więcej uwagi zwracały następne rządy.

Grimod de la Reynière prowadzi z dnia na dzień pamiętnik Rewolucji. 10 Thermidora, w dniu, kiedy spada głowa Robespierre'a, a wraz z nią zapada się w przeszłość cała krwawa epoka, zapisuje tylko słów kilka: „Nie było dziś ryb na targu!” Smakosz, a może zręczny konspirator, niepewny trwałości zmiany rządów. Tak czy owak, napewno przetrwał je wszystkie, szczęśliwy—i dlatego nie przeszedł do historii, nieszcześnie—tylko wtedy, kiedy na targach Paryża brakło czegokolwiek do obiadu kompletnego!

## Z TEATRU KRAKOWSKIEGO.

Ostatnią premierą polską, która figuruje obecnie na afiszu teatru krakowskiego, jest nowe dzieło dawno już uznanego autora „Stanisława Augusta”, „Burzy”, p. Ignacego Grabowskiego. Tym razem dał on „wierszem pocztą”—jak się wyraża afisz—stylową komedię w sześciu niewielkich obrazach, p. t. „Niewierny Tomek”.

Tomek, zakochany w swej żonie Małgorzacie, pragnie ukoronować swe szczęście próbą wierności i przywiązania żony. W tym celu wybiera się w podróż, zostawiając cnotliwą, czułą i roztesknioną za nim małżonkę pod opieką swego przyjaciela Jana, który ma przypuszczać pozorne ataki do serca i cnoty słomianej wdówki. Przyjaciel Jan—jak na przyjaciela przystało—wzdrga się z początku spełnić prośbę Tomka, w końcu jednak ulega jego żądaniu i miłą a trudną rolę podejmuje się odegrać. Podstęp ten jednak nie wychodzi Tomkowi niewiernemu na dobre. Pani Małgorzata bowiem, aczkolwiek jest bardzo cno-



„Słodka Emilia” pod gilotyną.



Dziewiątego Thermidora. Ostatni wóz!



„Niewierny Tomek”, komedia Ign. Grabowskiego, na scenie krakowskiej.  
Solski w roli Tomka, Weychert w roli Jana.

tlwią, męczy się samotnością podczas bezsennej nocy, kiedy w ciszy tem wyraźniej słyszy wesołe dźwięki karnawału i rubaszne gruchania miłosnej służącej swej Kasi, która nie zna żadnych skrupułów, kiedy chodzi o picie z czary rozkoszy jak najpełniejszymi haustami. Ciągła obecność pięknego Jana, który coraz bardziej wypada z roli, przemieniając ją na rzeczywistość swojego życia, dokonywa reszty, tak że Tomek, wróciwszy z podróży, zastaje swą żonę należycie już przygotowaną do schadzki miłosnej z Janem. Eksperyment tedy nie powiódł się niewiernemu Tomkowi, z czego morał taki, że z ogniem igrzać nie należy, lub że cnota niewieścia podobna jest do —porcelany.

Lekką tę, może nawet błahą treść podał p. Grabowski w lśniącej i wykwintnej formie misternego wiersza, w którym szybki, lekki i dowcipny dyalog dźwięczy, niby muzyka. W pierwszej odsonie przypomina się nieco Fredro, potem zalačuje Rostandem. Zresztą cały dyalog, utrzymany w jednolitym tonie, rozpięty na tle kostymów z czasów Dyrektoryatu, wywiera wrażenie rzeczy bardzo miłej i w swoim rodzaju skończonej, która świadczy o tem, że autor w zupełności opanował już formę i środki i że operuje nimi ze swobodą rutynowanego fachowca.



„Niewierny Tomek”, komedia Ig. Grabowskiego.  
Solska w roli Malgorzaty.

### Rzeczy polskie w Paryżu.

Dzięki inicjatywie i staraniom znanej powieściopisarki i działaczki, p. Maryi Szeligi, przy klubie międzynarodowym w Paryżu zawiązała się Sekcja polska. Celem jej wytworzenie łącznika intelektualnego, podtrzymującego zainteresowanie się zagranicą naszym piśmiennictwem i sztuką. Grono pisarzy francuskich, odnoszących się do kraju naszego z żywą sympatją, poparło gorące usiłowania naszej rodaczki. Na pierwszych porankach Sekcji Marius Leblond zdaje sprawę z wrażeń z pobytu zeszlórocznego w Królestwie,



URATOWANA. W szpitalu watykańskim św. Marcy leży pomiędzy dotkniętymi trzęsieniem ziemi staruszka z Regio di Calabria. Wzbudza ona ogólny podziw, jako niepospolity okaz, wyróżniający się pomiędzy innymi nieszczęśliwymi, których do Rzymu przywieziono. Ma bowiem 103 lat, zaważyła się razem z domem w dniu pamiętnej katastrofy i złamała wtedy nogę. Pomimo to, żyje i jest na drodze do wyzdrowienia, a nawet uśmiecha się do odwiedzających ją osób i myśli o powrocie w rodzinne strony. W Reggio została wydobyta z gruzów staraniem delegatów Zakonu Maltańskiego, którzy z całym taborem leczniczym wyruszyli z Rzymu na wieść o klęsce i odstawili ją do improwizowanego szpitala św. Marcy, gdzie dotąd przebywa. D.



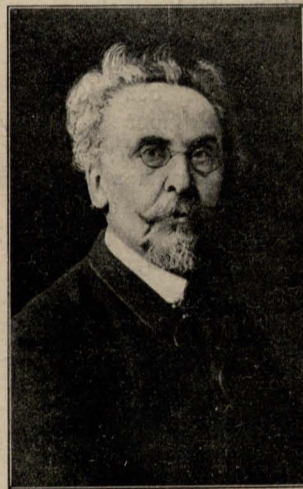
Pelagia hr. Skarbkowa.



Marya Szeliga.

### ZMARLI.

EDWARD PAWŁOWICZ. We Lwowie zmarł 9 b. m. jeden z najstarszych weteranów sztuki polskiej, ś. p. Edward Pawłowicz, w 94 roku życia. Urodzony na Litwie, jeszcze w szkole Bazyliarów w Żyrowcu odbył studia początkowe, potem uzupełnił je w ówczesnej wileńskiej akademii medycznej, tudzież w petersburskiej akademii sztuk pięknych. [Uzyskawszy stopień „artysty”, wyjechał Pawłowicz zagranicę, pracując przez czas dłuższy po galeriach we Florencji, Rzymie i w Paryżu. Rok 1863 zastał go w ojczyźnie na stanowisku nauczyciela gimnazjum w Nowogródku. Aczkolwiek nie brał czynnego udziału w powstaniu, Murawiew zesłał go na wygnanie do gub. ołoneckiej, skąd powróciwszy, osiadł na czas jakiś w Warszawie, gdzie wespół z Juliuszem Kossakiem



podnosząc wysoko kobietę polską, spełniającą obowiązki obywatelskie wśród trudów i przeciwności. Gabriel Dauchot (autor „Nieśmiertelnej Polski”) rozpatruje przyczyny etyczne, uczuciowe i polityczne, dla których należy służyć sprawie polskiej. Obok odczytów programy zebrań wypełniają utwory naszych poetów i kompozytorów. Dotąd deklamowano poezje Mickiewicza i Konopnickiej w przekładzie Gasztowta i Legrand. Pieśni Moniuszki, Żeleńskiego, Paderewskiego, Galla, Niewiadomskiego w wykonaniu wesołego utalentowanego tenora Stery-Jelkowskiego i hr. Skarbkowej nie były prawdziwym entuzjazm. Pod ich wrażeniem kompozytorka Callias układa suitę orkiestrową p. t. „Dusza Polski” i tworzy chór, mający studyować bogaty repertuar naszych melodii ludowych. Hr. Pelagia Skarbkowa (przewodnicząca Sekcji wraz z p. Szeligą), jest pierwszą Polką, obdarzoną dyplomem Akademii muzycznej w Bolonii. Koncerty jej w Paryżu cieszą się żywym powodzeniem, a wykonywane przez młodą artystkę najchętniej utwory swojskich kompozytorów zyskują gorący poklask.

Sekcja polska organizuje w przyszłym miesiącu w Paryżu wieczory Słowackiego i Orzeszkowej.

### ZE SZTUKI.

Bardzo szczęśliwą myśl szerzenia kultury estetycznej wśród szerokich warstw narodu miała zawiązana niedawno spółka p. n. „Wisła”. Celem jej — wydawanie artystycznych kart pocztowych, a pierwsza ich serya zamyka w sobie 20 pięknie wykonanych w krakowskim zakładzie litograficznym T. Jabłońskiego reprodukcji obrazów Juliusza i Wojciecha Kossaków, Józefa Męciny Krzesza, Władysława Hoffmana, Piotra Stachewicza i Wincentego Wodzinowskiego. Wydawnictwo „Wisła” postawiło sobie za zadanie wyparcie z rynków miejscowych fabrykatów zagranicznych, zwłaszcza niemieckich.

Zarząd Towarzystwa Artystycznego prosi nas o zaznaczenie, że termin składania prac na konkurs na plakat reklamowy „Haberbusch i Schiele”, ogłoszony 20 grudnia 1907 r., upływa z dniem 1 marca 1909 roku.

### Konkurs.

Browar Drozdowski ogłasza konkurs dla artystów polskich na plakat reklamowy. Warunki konkursu są następujące: wielkość maksymalna 100 X 70 cm, afisz ma się nadawać do reprodukcji litograficznej w czterech barwach, napis na afiszu w dwóch językach, polskim i rosyjskim: „Piwo Drozdowskie, Marcowe, Ciemne, Jasne z Browaru w Drozdowie pod Łomżą, skład w Warszawie, Grzybowska 21.”

Termin nadsyłania prac 20 marca 1909 roku do biura inż. Maryana Lutostawskiego, Boduena 1. Afisz ma być opatrzone godłem, powtórzone na kopercie zapieczętowanej, zawierającej nazwisko autora. Nagrody dwie: rb. 75 i 50. Zarząd browaru zastrzega sobie pierwszeństwo nabycia prac nie nagrodzonych.

Sąd konkursowy składają: pp. Piotr Krasnodębski, Eligiusz Niewiadomski, Edward Trojanowski i dyrektor browaru: Józef Lutostawski. Konkurs będzie rozstrzygnięty przed końcem marca, a prace nadesłane będą na przeciąg kilku dni wystawione w Towarzystwie Z. S. P.

### REKLAMY

KSIĘGARNIA Fr. RACZKOWSKIEGO  
LUBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 36,  
przeszła na własność  
GEBETHNERA i WOLFFA.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2.  
„ENGLISH CLOTHING HOUSE”.

dział jakiś czas dobrami Landwarowskiemi, poczem osiadł na własnym zagonie i brał żywy udział w życiu swojej okolicy, rozwijając działalność wśród ludu, który znał doskonale, przewodnicząc za czasów istnienia Macierzy Kołu wisknickiemu i kierując wisknickim Towarzystwem rolniczym.



BOLESŁAW RATAJEWICZ, zasłużony ziemianin i obywatel ziemi podlaskiej, zmarł 14 lutego r. b. w wieku lat 45. Po ukończeniu szkół w Białej i instytutu rolniczego w Puławach zarzą-

TADEUSZ MICIŃSKI:

## FORTECA MARMURÓW.

3)

Nawóz, unikany przez estetyków, jest dla natury tem, czem dla alchemików były Essencye księżycowe.

Amoniaki i sole karmią glebę; na glebę uderzają fale morza słonecznego. I oto po dwóch tygodniach już na tej niwie czarnej utworzy się jezioro zielone; po miesiącu zakofyszą się kukurydzane szyszki, delikatne węże łoży winnej wzniosą się w hymnie przed Słonecznym Czarodziejem.

Wśród pola zbożowego stoi wieża, nasuwająca myśl o łucznikach, broniących tych pól dzi kim, morskim piratom. Zapytuję rządce tego folwarku, młodego fauna, ten mówi, że to wieża dla karmienia—prosiąt.

Dom z tarasem, cały owinięty fioletowym płaszczem glicynii, które pną się, jak winograd, a lśnią, jak ametystowe skarby Aladyna.

Na podwórzu stylowa studnia.

Stajnie murowane, oplecione cytrynowymi gałęziami. Z lewa kupy nawozu krowiego, nakładane na wóz; — na tym wozie dwukolnym stoi dziewczka z chustą żółtą na głowie: chce się zawołać na nią: Marysia, ale ona wabi się: Corinna!

Z boku podwórza ogród warzywny, królestwo szparagów, cebuli, majeranku, pomidorów, kapusty, anyżu i wielu innych kminkowych ziół.

Na podwórzu mały ogród kwiatowy, tu rosą astry, centyfolie żółte, kępy gwoździków wonnych, cudnych, niby stygmaty.

I różę!

Królewskie, jak piersi Julii, upojne, jak nic na świecie!

Obok stajen po schodach marmurowych (och, jak to dalekie od Warszawy, gdzie schody marmurowe mają tylko uprzywilejowani!), więc po tych skrzyżalach kamiennych idę do mej pracowni, otwieram drzwi tęgie, zielone, mijam izbę ogromną, chłodną, mimo upału na dworze — tu będzie mój jadalny; obok mały pokój z kratą w oknie, zapewne alkowa, ubezpieczona przeciw Juliom, to będzie moja sypialnia.

Pnę się wyżej — tam dwa pokoje wielkie z pułapem belkowanym. Tu mam stół, kilka książek—tu będę przyjmował dziwnych tajemniczych gości, którzy zjawiają się, iskrząc zbroją, topiąc w mem sercu magnetyczne zagwiezdne wejrzania.

Widzę góry wniebowzięte, przesłonecznione, chaty rolników nad powodzią sadów kwitnących, w zieleni pól mroczniej Kassandry-cyprysy; za łąkami pszenic—zmierzcha się baśń lasów, a ten daleki symfoniczny szum—to morze!

Tajemnicza świętość nastroju!

Jakby z Böcklina przepyszna aleja eukalyptysów prowadzi do willi Conte Digerini, lecz wydaje się raczej, iż jest to aleja topól jakiejś polskiej Cyrce-kasztelanki z Czarnolasu, lub Tęczyńskiej Woli! Ostrzegł mnie faun-rządca przed komarami, dał mi gwoździkowe esencye i chininę, dalej bowiem rozciągają się mokradła; pocziwie i nikle wyglądające komarzyny są mi zbyt dobrze znane z Polesia, Wenecyi i Coimbry, abym im zaufał. Wiem, iż nie tylko nie dają w nocy spać, lecz jeszcze roznoszą febrę. Zabezpieczenie skutkuje, śpiam bez przebudzenia, zdrowie mnie nie opuszcza.

Dnie spędzam w pracy; obiad samotny, podany mi przez arcyniefauniczną żonę fauna, to macaroni, jarzyny, czasem mięso, ryby, wino, brzoskwinie.

Wieczorem,—pora iść do kąpieli.

Przemijam las, wychodzę wkrótce na drogę, a zaraz skręć—i morze!

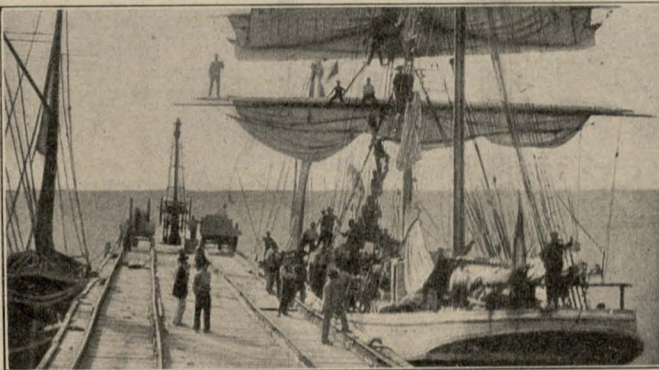
Morze! Kto je zna, ten, jakby z dźwięku muszli—usłyszy szum fal, ujrzy brzeg piasków, zarosłych rzadkimi kolczatami trawami, uczuje piagę,

gładką, jak posadzka, jedwabście miękką, przepłukaną przez wilgoć i zalewaną wciąż przez obrusy fal.

Słońce, jak rubinowa Hostya na bezmiarach fioletowiejącego morza. Wieje wilgotny aromat jodów, które tu alembikują się z alg. Na wybrzeżu krocie i miryady muszli, tęczujących wśród czarnego zielska lawaroli, t. j. porostów morskich.

Istoty te w morzu wyglądają, jak nimfy: wyciągnięte zaś na wierzch—są tylko nikłem, lecz za to potężnie morską krystalizacją przesyconem zielskiem.

Mówił mi szef Stacyi Zoologicznej, p. Rinaldo Dohrn, który niejednokrotnie zapuszczał się w skafandrze na dno morskie, że tam jest jak w grocie lazurowej, wszystko feeryczne, operowe; lecz, wyszedłszy z tymi skarbami na powietrze,



Pomost ładunkowy do wywozu marmuru w Karrarze.

widzi się, że to szare galarety, oślizgłe monstra.

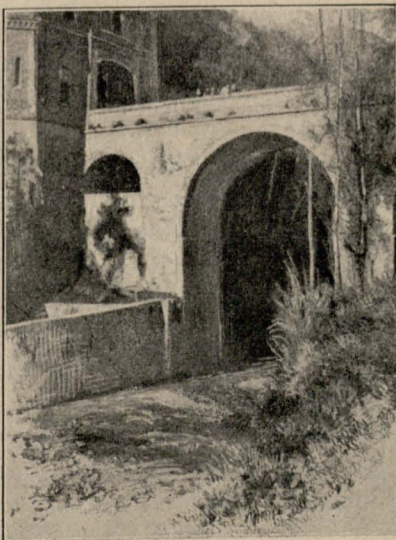
Kto zna wędrówkę w głąb polskiego społeczeństwa, doznawał podobnych mirażów i rozczarowań.

Cecha zasadnicza: życie, myśli i uczucia na pokaz, dla feery, Ibsen powiedziałyby: atmosfera podpór społeczeństwa.

Na tle tchórzostwa i marnego używania życia zrodziło się kłamstwo monstrialne, stajnia Augiasza, jakiej niema już w Europie, a jaka była w Neapolu za Burbonów, lub we Francyi za powrotem emigrantów wraz z Ludwikiem XVIII. *Après nous le déluge*—wtedy—coż wtedy? nic!

W Polsce niema opinii, bo niema ludzi, którzy stoją choćby na jednej wartości, do głębi przemyślanej. *Umwertung aller Werthe* dokonało się łatwo, jak w jarmarcznym teatryku.

Jakiż sens tego widowiska? dla tych, co zamykają kasę, duży; dla tych, co nie mogą już wrócić do feerycznej atmosfery wzajemnych okłamywań, sztucznie klejonych wiar, niby to serdecznego „Kochajmy się”, pokostowania uśmiechem najpodlejszych obniżeń życia—ten rezultat i ten sens — jest straszny...



Karrara. Most della Padula

Leżę na wznak na morskich głębinach, mając nad sobą tylko niebo, a pod sobą toń.

Życie jest wielką możliwością.

Co mogłoby się dziać nawet u nas, gdyby nie Dyabeł, który zamieszał świat swym ogonem, jak wierzą bardzo trafnie na Polesiu!

Poznałem tu nowy typ człowieka: na szczytach kultury i nieograniczonej wolności.

Willa Thalassa niedorzecznie przypomina okrzyk owych 10,000 Greków Ksenofonta, którzy po straszliwych przeprawach w nieznanym górskim kraju zimą ujrzeli Morze, mające ich dowieść do ojczyzny.

Węzłem towarzystwa jest pani Marya Dohrn-Baranowska, która niegdyś znakomicie przyczyniła się do istnienia Stacyi Zoologicznej w Neapolu, która mówi sześciu językami, ma duszę Helenki, energię niespożyta i wielką, mądrą, głęboką radość życia.

Na wielkich tarasach z arkadami, mając tylko niebo ugwieżdżone nad sobą, jak wiele się myśli, jak przejrzycie się rozmawia! Z ogrodu dochodzą wonie — bezimienny thymiam drzew, wśród których, jak korowód mnisek z białymi welonami, stoją rozkwitłe jukki.

Tu zgromadzają się wieczorem, nad bezgraniczem morza, u stóp gór, nad którym płynie ołtarz księżycy — rodzina Hildebranda, nieraz tworząc bethovenowskie cudne kwartety; sam Hildebrand z umysłu oryginalnego i prawości myślenia przypomina mi Witkiewicza z Tatr; tu prof. Dohrn, potężna wola i inteligencja, mocą których osiągnął wszystko w życiu, co zamierzył, nie przewidział tylko, iż na końcu faustowskiej drogi czeka tragiczna Frau Sorge...; tu rodzina admirała Morini'ego, który jest czczony w Rzymie, jako senator niezwykłej energii i prawości; jedna z cór, sama jak posąg, rzeźbi posągi, pełne czaru i życia; tu panna Amici, wymowna i bystra, jak sama elektryczność, nieprzyjaciółka d'Annunzia; tu poetka Izolda Kurz, Muza, zda się, wyszła z wej-marskich świątyń z okresu Napoleona; tu Carlo Sattler, architekt, prof. Fasola, germanista, i p. Sargent, Anglik, rzeźbiarz, o twarzy wilka i świętego, który opowiada o stosunkach w Akademii Londyńskiej. Toż Burne Jones nie był nawet rzeczywistym członkiem, Whistlera nie przyjęli, ani Gabriela Rosetti'ego. Ci panowie z Akademii mają milionowe kapitały i bardzo tanie gusta!

Wiecznie więc to samo? Klika dorwie się do prebend i niemi korrumpuje. Artysta, mający Sezamy, ginie z głodu, lub, jak Wieczny tułacz, błądzi w pustyniach nieuznania.

Jest jakaś morskość w nastroju architektonicznym samej willi, osobliwie wieczorem, przy oświetleniu lampy w kształcie olbrzymiej, kryształowej latarni; sprzęty kryte białoruskimi kilimami włóścianek, których przemysł nadzwyczaj rozwija w swym majątku pani Dohrnowa.

Tu z równą swobodą przeżywa się Danta, wirchowe, walkiryne poematy Wagnera, jak z zajęciem wysłuchuje się o pracach i wynikach współczesnej kultury. Być może, iż najwięcej radości wnoszą nam panowie Rinaldo i Wolf Dohrnowie, rozrośli, jak istne wikingi, łączący w sobie słowiańską bezpośredniość z północną potęgą. Jeden z nich rządzi Stacyą Zoologiczną, drugi buduje miasta dla robotników z ogrodami pod Dreznem.

Nie chcę poruszać w sobie wszystkich wspomnień. Niech spoczywają, aż jakaś błyskawica dobiedzie z nich Anamnezę, przejaśnioną w mrocznych dniach zwątpienia.

Wprowadziłem na nowo do swej duszy — Morze. Należy być twórcą prawd w obu światach: Jaźni i Realizmu! niszczyć fetysze, budować wciąż wyższe świątynie Przeznaczeniu, które jest emanacją naszego jestestwa w nieskończoności zawrotnej mogli—i gwiazd.



Sypał się wesołą czeredą tłum.

K. GORSKI

Od czasu przybycia swego na Litwę mierzył ten kraj okiem, zgłębiał rachunkiem, obejmował rozgrzanem sercem: liczył widoczne i ukryte skarby ziemi i narodu. I przejmowała go duma, że ta piękna, poważna kraina, zniewolona niegdyś chrześcijańskim podbojem, bo pokrewieństwem duszy zbiorowej i dążeń historycznych, skojarzyła się z Polską i zakwitła z nią dwukwiatem jedynym w dziejach.

Litwa przyjęła — dumał — wiarę naszą, obyczaj nasz, kulturę naszą bez niewoli, ani ukorzenia i pięciowiekowym namysłem utwierdziła się w przekonaniu, że uczyniła dobrze. Ani cienia zdrady, ani jednego buntu do przedwczoraj jeszcze... I my względem niej win nie mamy. Nie szczepiliśmy naszej kultury po prusku, dawaliśmy Litwie do wyboru język nawet urzędowy, aż sama porzuciła niedołęzne narzecza, aby się stać ogrodem mowy polskiej, wybujałym w takie dęby, jak Mickiewicz. Rozłączyliśmy nasze skarby i wojska; nie przeciągaliśmy nigdy ukazem soków pożywczych z pod Niemna nad Wisłę; łączyliśmy się dobrowolnie ku wspólnej obronie. Win wzajemnych względem siebie królewskie Siostry nie mają...

Jak rój much natrętnych, przeleciały przez pamięć Kazimierza zadawnione, jedne marniejsze od drugich, uszczypliwie przytyki do Litwinów, mile Koroniarzom, ostrzącym języki na bylejakim przedmiocie. Poważni Litwini mają cienką skórę, są pamiętni uraz.

— Ale mądrzy — odpowiedział Kazimierz z przekonaniem za Litwę.

Skąd te pomruki? Skąd te nagłe niechęci, wybuchające przeciwko nam z łona

młodej Litwy? Gdzie wzięły początek prądy separatyzmu?

Spojrzał na łan klęczący.

Nie pośród ludu. Niema większego odalenia między tym ludem a nami, niż to, które istnieje między chłopem mazowieckim lub wielkopolskim a szlachtą tejże rasy. Są różnice kultury, różnice ekonomiczne, zawisłości klasowe... Mniejsze chyba, niż nad Wisłą? Gdzie na tych pogodnych twarzach zdybać zawisłość? Jak tych bogatych, dalekich od miast włościan posądzić o pożądanie innego losu, niż błogi ich los oraczów pięknej, wdzięcznej, własnej ziemi? Przyszli tu oto do wspólnej z nami świątyni, fundowanej przez Budziszów, rozgrzać wiarę swoją — wiarę naszą — radować się w Panu, że żyją w dostatku i spokoju... Jeżeli i tu powstała, jak gdzieindziej, haniebna rozterka między mniejszym i większym posiadaczem, to poduszczona przez obcych. Już znikła, a nigdy nic wspólnego nie miała z nienawiścią plemienną.

Różnica języka?... Ależ język litewski pozostał dobrowolnie, bez wszelakiego ucisku z naszej strony, mową gminu. W iluż krajach, w iluż nawet ziemiach polskich klasa kulturalna zaledwie rozumie mowę ludu! I hodujcie sobie, rozwijajcie swój śpiewny język! Pomnijcie tylko, jaką mowę przyswajał sobie od wieków każdy większy z was, gdy wyjrzał na świat szerszy; nie wypierajcie się połowy braci waszych rodzonych, którzy i do chaty wprowadzili mowę polską...

Kazimierz mówił to już w dal, do jakichś ludzi tu nieobecnych, do pismaków

i rzekomych przywódców ruchu ludowego na Litwie. Bo ci, którzy tu klęczą, nie śnią zapewne o wyzwoleniu się z pod przemocy... polskiej. Słyszeli coś o tem od nowych rzeczników duchownych i świeckich, ale do serca nie wezmą. Przez powolny, ale pewny rozum pozostaną przy dawnej wierze i dawnym przymierzu. Ruch samego ludu w kierunku separatyzmu wydał się Kazimierzowi niemożliwym, a podżegacze marnymi i nielicznymi. Więc rozpromienił czoło otuchą, zataczał marzeniem coraz szersze kręgi, obejmował przyszłość wspólną, światłą i mocną.

Ale i on, choć młody, przeżył już konstytucję i rewolucję, doświadczył, jak trudno uprosić Boga o wschód słońca dla upośledzonych narodów. I szukał w oczach klęczących Litwinów, czy są godnymi ojców synami, czy modlą się o to samo?...

Zagrały organy głośny finał i umilkły. Powstały gęstsze dymy od ołtarza z rozżarzonych kadzielnic. Cisza, która zaległa, wyrwała się do pieśni. I ukląkł kapłan przed stopniami ołtarza i rozwiązał pragnące usta tłumowi, intonując samotnym głosem:

— Szwintas Diewe! \*)

Nuta padła na klęczący zastęp męski, jak pierwszy podmuch orkanu. Zbudziła ton czysty, już potężny, ale płynący niby z odalenia, rosnący w chóralną moc. Wzmaagał się coraz harmonijny dech suplikacji, przelewał się już grzmotem i począł się znowu rozplęwać decrescendem olbrzymiego westchnienia.

Jeszcze nie skończył pod wysokim stropem, gdy nutę w wyższej oktawie podchwyciły głosy kobiece. Jakby na falę, dopiero grzmiąca, która umilkła, zleciała świegotliwa chmura ptactwa i, chwyciwszy ton,niosła go wyżej rozekłanym lamentem.

Przeleciała — i wybuchły znowu grzmoty chóru męskiego, nastrojone zgodną, śpizową potęgą.

A milknące wołanie mężów nowym zgiefkliwym wybuchem podtrzymywały niewiasty:

Od powietrza, głodu, ognia i wojny  
Zachowaj nas, Panie!

I niosła się pieśń ogromna dwoma hufcami, mocując się z Panem zastępów przemożną modlitwą.

Wspomniał Kazimierz, że o tej samej godzinie grzmi ta sama pieśń dzisiaj z milionów piersi na przestrzeni od Karpat aż po Niemen i Dźwinę. I rzucił się w chór wołający mężów całą siłą głosu swego męskiego, całym zapalem duszy swej, pragnącej uszczęśliwienia milionów.

Nieśli pieśń w górę aniołowie trębacze wysoko, przez ukośne strugi słoneczne, poza sklepienia; a gdy przebrzmiało wołanie ostatnie, przysiedli na górnych gżemsach aniołowie ciszy.

\*) Święty Boże!



Gdy wychodzili z kościoła obaj Budziszowie, pan Apolinary zatrzymał się przed głównymi drzwiami, z których sypał się wesołą czeredą po schodach tłum szary i barwny.

— Oto nasi śpiewacy!—mówił, lustrując mokrem jeszcze okiem mijające gromady.

I pan Hieronim mrugał niezwykle oczyma, obejmując co chwila jasne głowy, schylające się do rąk jego wielkich, ojcowskich.

VI.

Nasze siedziby wiejskie są, jak księgi, tak różne między sobą treścią, wiekiem, wreszcie formą zewnętrzną, że zaledwie można je zaliczyć do jednej kategorii dzieł ludzkich. Parę mil drogi z Wiszun do Rarogów przenoszą podróźnego w zgoła odmienny świat i nastrój.

Wieczorem drugiego dnia pobytu w pałacu Eustachego Chmary dwaj Budziszowie i Rokszycki niknęli w liczbie około trzydziestu osób, zgromadzonych w salonach obszernych, typu miejskiego i międzynarodowego. Krążyło po nich kilkunastu mężczyzn różnego wieku, między nimi paru w mundurach, inni przeważnie we frakach. Były i panie w sukniach wieczorowych.

Pan Apolinary miał kilka powodów niezadowolienia. Popierwsze, nie przywiózł z sobą fraka i figurował w czarnym surducie. Ze elegancją Korony salwował Kazimierz, któremu frak doskonałego kroju dodawał wiele powabu, to pana Apolinarego niedostatecznie pocieszało; wolałby i swoją osobą wyrażać dobitniej uroczystość. Powtóre, nie był zadowolony z odbytych dzisiaj obrad, do których był przypuszczony z głosem doradczym. Cyfry i cyfry, sprawozdania ekonomiczne, powiązane z innymi, których pan Apolinary nie znał; wreszcie dyskusya, wpadająca często w język rosyjski z powodu obecności paru Rosyan—wszystko to nie przypadło mu do smaku. Szerszego tchu, rozleglejszych horyzontów (jak to u nas!)—ani cienia tutaj. Działacz koronny nie mógł dotychczas zahaczyć o stosunki polsko-litewskie, ani o programy autonomiczne. Jak tu gadać nawet w tak mieszanym towarzystwie? A wreszcie niekontent był ze swej własnej postawy: milcząca powściągliwość, filozoficzny namysł nie były jego żywiołem. Potrzeba mu było głośniejszej i niepohamowanej „akcyi”.

Stracił humor i nie asystował nawet damom. Piękna pani Krystyna z powodu niezdrówia nie ukazała się w salonach ani wczoraj, ani dzisiaj. Pani Eustachowa Chmarzyna była zahukaną, chorobliwie nieśmiałą i małomówną osobą, a dwie jej córki wcale nieładne. Na tych paniach ciążył zadawniony gniew naczelnika rodu: na żonie, że nie dała mu syna, na córkach, że nie są mężczyznami. Istniały te ofiary we własnym domu, jako twory podrzędne, klucznice i służebne. Ale



Chmara krążył po salonie.

K. GORSKI

ten drobny rys tyranii domowej przepadał w wielkości obywatelskiej Eustachego Chmary.

Inne panie obecne nie nęciły też pana Apolinarego do rozmowy. Księżna Zaslawska wdowa, jeszcze piękna, chociaż już matka kilkorga dorastających dzieci, wydawała się Budziszowi zbyt wielką i obcą; jeszcze inne damy—zbyt nadskakiwały księżnej. Ładną młodą kobietą w salonie była pani Wiliaszew, żona marszałka szlachty, Rosyanka—ale mówiła tylko rodowitym językiem, albo po francusku. Pan Apolinary siedział na kanapie, w cieniu, wcale osowiały.

W innym kącie salonu Kazimierz Rokszycki prowadził ożywioną rozmowę z dwoma młodymi Zaslawskimi, Michałem i Bernardem. Książęta, jeszcze niepełnoletni, mocno zapóźnieni w naukach, odpoczywali obecnie od studyów w granicach swych rozległych włości, zostających pod opieką matki i Eustachego Chmary. Na prowincyi słynęli, jako myśliwi i sympatyczni urwisze. Kraj zaś oczekiwał cierpliwie, co za pożytek będzie miał wkrótce, gdy młodzi Zaslawscy obejmą w posiadanie swe dziedziczne, ogromne fortuny terytorjalne. Przywiezieni prawie przemocą do Rarogów na zjazd rolniczy, Miś i Beno (Michał i Bernard) upatrzyli sobie między zgromadzonymi najmłodszego wiekiem i prawdopodobnie wybornego kompana—Rokszyckiego. Więc zaraz pierwszego dnia tak się około niego zakrzętnęli, tyle mu okazali i obiecali ułatwień w poznaniu kraju, lnu, konopi, ludu i obyczajów, że rozweselonemu Kazimierz nazywał ich już po imieniu i, będąc rzeczywiście wybornym kompanem, znacznie tylko doświadczeńszym, studyował tymczasem ich samych, przyszłych potentatów kraju.

Dowodził teraz starszy, Miś, że w Dynaburgu jest wyborny teatr.

— Mówię tobie: Szwedki, Dunki, Niemeczki z Rygi—osobliwość! A jeden jest komik z Pitra, Kołybin. No tak ten już artysta!

— To nie teatr, to chyba jakaś buda, tingel-tangel? — powątpiewał Kazimierz.

— Wszystko równo, nazywają „teatr”. My z Benem jak wejdzem tam, mówię ja tobie—„maślanica”!

— Po jakimu wy gadacie w domu?—przerwał Kazimierz.

— Z matką i siostrami po francusku. A w gimnazyi po rusku. Po polsku to my gadamy tak... jak popadnie. Ot, żeby z tobą dawniej znali się, toby i nauczyli się.

— Pora jeszcze—wtrącił Beno. —Ja postąpię do polskiego uniwersytetu, kiedy go odkryją w Warszawie.

— Jesteś przygotowany do uniwersytetu?

— Oj je! Zaslawskiemu nie dałoby postąpić do uniwersytetu? Mama tylko tam do rektora oko—i siup! zrobione.

— Widzę, że Beno studyował już polszczyznę i w Warszawie?

— A tak. Byłem ja ci, dziedzicu, w Pacanowskiej akademii na ulicy Krzywe Koło.

Miś zmienił rozmowę:

— Chcesz? pójdzem po wieczery do piekarni. Tam len przedą ładne dziewczyny. A jeżeli i lnu nie przedą, to dziewczyny zawsze są.

Rokszycki, choć z natury wesoły, spoważniał. Młodzi książęta zdawali mu się zbyt gwałtownie zdemokratyzowanymi.

W tej chwili zbliżył się do Rokszyckiego Eustachy Chmara. Uprzejmy gospodarz krążył po salonie, rozdając swe odznaczenia majestatycznie.

Był wielki, barczysty, czarno zarośnięty. W twarzy bardzo ciemnej i złożonej z namiętnych skurczów oczy błyszczwały głębokimi tylko szparami. Szpary te były przymilne i niepokojące. Obnosił jednak z zadowoleniem stanowczą brzydotę swej głowy na postaci prostej, wyniosłej, kroczącej powoli, z lekkimi podrygami, jakby co krok osadzał się w postawie pomnikowej. Niektórzy twierdzili, że Chmara jest piękny; wszyscy—że „śliczny człowiek”.

(DCN)

Szanownych prenumeratorów „Tygodnika Ilustrowanego” prosimy o wniesienie opłaty na rok bieżący.

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI:

# CHOROBA.

Wogóle postanowił ostro się postawić. Nawet przyspieszył kroku, aby siebie samego przekonać, że sobie nic z tego, co będzie w domu, nie robi. Ale, gdy już stanął przed drzwiami mieszkania i nadeszła ostatnia chwila, to gdy jest należało już tylko rękę wyciągnąć, aby zadzwonić, odwaga opuściła go nagle. Do tego stopnia, że aż łyzy zakręciły mu się w oczach. Nieśmiało, pocichutku zadzwonił i, kiedy służąca otworzyła mu drzwi, wszedł do pokoju z głośnym płaczem.

Matka spojrzała na niego przelękniona.

— Cóż ci się stało?

— Taki jestem chory—wykrztusił stłumionym od płaczu głosem—tak mnie głowa strasznie boli, że nic nie widzę.

Matka położyła mu rękę na czole.

Kazio miał czoło zaczerwienione, ponieważ, idąc po schodach, tarł je silnie dłońmi, zawczasu przeczuwając owe domowe oględziny lekarskie, ale, niestety, na nic to się nie zdało... Czoło było chłodne.

— Przyznaj się odrazu, żeś się lekcy nie nauczył.

— Mama zawsze—jęknął zbolalym głosem.

— Idź do swego pokoju.

— Ja naprawdę jestem chory.

— Zostaniesz dziś na dyjecie.

Kazio poszedł do swego pokoju, ale, pomimo że udało mu się plan swój w całości przeprowadzić, humoru nie odzyskał. Matka oczywiście nie uwierzyła jego skargom i opowieściom o chorobie. Świadczył najlepiej o tem jej obojętny ton. I dzień z tego powodu zapowiadał się chmurnie. Usiadł przy stole. Głowę ukrył w dłońmi i zamyślił się głęboko. Napęliło mu duszę przykre uczucie dręczącej trwogi i wyczekiwania. Może już lepiej ostatecznie było pójść do gimnazjum. Co będzie, gdy ojciec powróci?...

Te pytania tak go denerwowały, że począł gorzko żałować swjej decyzji. Miał niaby to z łaciny odpowiadać napewno, ale przecież mogło się być i tak jakoś ułożyć, żeby go nie wyrwali. I winę wszystkich począł przypisywać Arbusowi. Wśród posępnych uczuć, jakie targały mu serce, jedynym jaśniejszym nieco była nadzieja, że jutro, zaraz podczas pierwszej pauzy, da Arbusowi porządnie „po mordzie”.

Ale była to słaba pociecha wobec przejść, jakie jego samego czekały dzisiaj jeszcze. Najbardziej ze wszystkiego niepokoiła narazie absolutna samotność, w jakiej go pozostawiono. Wciąż nerwowo wyczekiwał, że matka wejdzie do pokoju, żeby się raz jeszcze z nim rozmówić, tymczasem czas mijał, upłynął kwadrans, pół godziny, a matka nie przychodziła.

To go rozgoryczyło; przecież, żeby nawet naprawdę nie był tak chory, jak mówił, to mama powinna się była przestraszyć. Znow łyzy zakręciły mu się w oczach. Był nie tylko ciężko chory, ale i opuszczony przez wszystkich. Sięgnął po chustkę do kieszeni od palta, aby łyzy obetrzeć, i nagle natrafił ręką na

plaster od kaszlu, który mu tam wetknął Arbus. Poczerwieniał z oburzenia, gdy nagle błyskawica genialnej myśli rozświetliła mu mózg.

Uśmiechnął się tryumfująco.

Szybko się rozebrał i położył do łóżka. Potem rozprostował starannie pomiętą „thapsię” i przyklepił ją na piersiach. Po pewnym czasie, gdy go ciało zaczęło swędzić, przeniósł plaster na plecy. Kilkakrotnie z uśmiechem błogiego zadowolenia powtarzał tę operację, aż wreszcie osiągnął zamierzony efekt: miał piersi i plecy pokryte drobną czerwoną wysypką.

— Teraz się mama przekona, czy nie



„To ja sam zrobiłem”.

Rys. K. Witkowski

jestem naprawdę chory — mruknął ze złośliwą radością, zacierając ręce.

W jednej chwili odzyskał dobry humor. Niepotrzebny już mu plaster zwinął starannie w gałkę i rzucił na piec. Następnie podbiegł boso do biurka i, wyciągnawszy z bocznej kieszeni uczniowskiej bluzki wielki notes w ceratowej oprawie, zapisał pod odpowiednią datą: „Nie poszedłem do sztuby”, a po chwili namysłu dodał jeszcze: „Arbus jest świnia”. Notes ten, nawpół zapisany, był jednym z jego najcenniejszych skarbów. Zazdrościli mu go nawet koledzy. Na pierwszej stronie, starannie wykaligrafowanej rondowem pismem, mieścił się spis dziesięciu najsilniejszych ludzi na świecie, dalej był tajny alfabet, szereg niesłychanie ważnych informacji na wypadek rozbicia się okrętu, wreszcie stopnie, które Kazio na własną rękę stawiał kolegom, ile razy odpowiadali z jakiegokolwiek przedmiotu.

Z sąsiedniego pokoju doleciał go nagle odgłos kroków matki. Jednym skokiem rzucił się napowrót do łóżka, przyklnął oczy, ręce bezwładnie wyciągnął na kołdrze i skrzywił się niemłosiernie, chcąc nadać twarzy wyraz najstraszliwszego cierpienia. Ale matka nie bardzo się temi zewnętrznymi oznakami choroby przejęła.

— Cóż to, do łóżka się położyłeś?—odezwała się ostro.

Nic nie odpowiedział, udając, że śpi.

— Kazik! — podniosła głos zniecierpliwiona.

Wówczas począł się skarżyć piskliwym głosem.

— Mama mi nie wierzy, a ja się wszystkich lekcyi wczoraj doskonale nauczyłem, tylko naprawdę jestem chory. Takie jakieś czerwone krostki porobiły mi się na piersiach i na plecach.

— Pokaż—przerwała mu matka zaniepokojonym tonem, szybko zbliżając się do łóżka.

Dumnym ruchem odstłonił piersi.

Zauważył, że poblądła w jednej chwili, i to sprawiło mu złośliwe zadowolenie. Teraz mama wierzy, że jestem chory... O mało nawet głośno nie wypowiedział tej myśli.

— Obróć się.

Kazio obrócił się posłusznie. Matka długo, bacznie przyglądała się wysypce. Kazała mu potem usiąść na łóżku i sama zapięła koszulę pod szyją. Ręce drżały jej przytem zlekka.

— Pokaż język.

Kazio niechętnie otworzył usta.

— Język masz czysty i ręce chłodne, poczekaj chwilę.

Wyszła z pokoju.

Kazio wiedział, że poszła po termometr. I miał już gotowy plan działania. Gdy mu matka założy termometr pod pachę, pocznie pisać, że mu się pić chce, matka wyjdzie na chwilę z pokoju, wówczas on przytknie szybko termometr do drzwiczek od pieca, i wszystko będzie w porządku. Czuł, że jego sprawa jest już na najlepszej drodze. Oczywiście, gdyby się nawet wybieg z termometrem nie udał, to wobec tak jaskrawego dowodu, jakim była wysypka, nikt już w domu nie mógł wątpić o prawdziwości jego choroby. Radość z odniesionego tryumfu psuł mu tylko głód, który zaczynał dość dotkliwie mu dokuczać.

To było najgorsze, że choroba ciągnęła za sobą przykre konsekwencje diety. I na to już nie było rady. Kazio zasępił się, i uczuł w duszy rodzaj żalu do Pana Boga za to, że, stworzywszy tyle chorób, nie dał ludziom ani jednej takiej, podczas której można by jeść wszystko.

Po chwili matka weszła z powrotem do pokoju. Pochyliła się nad łóżkiem, i Kazio, który znów przyklnął oczy, udając gorączkową senność, uczuł nagle na ustach długi, gorący jej pocałunek. Jakies niewypowiedziane bolesne uczucie ścisnęło mu serce. Bał się oczy otworzyć.

— Kazik, Kazik! — wyszeptwała nad nim matka cicho.

Spojrzał, i stało się z nim coś tak straszego, że już sam nie wiedział co. Matka miała oczy pełne łez. Chwycił ją za szyję i, tuląc ją gwałtownie do piersi, wybuchnął głośnym, spazmatycznym płaczem.

— Kazik, uspokój się, dziecko moje—wołała przerażona.

A on tak się rozplakał, że się ani uspokoić, ani słowa wymówić nie mógł. Po dłuższej chwili dopiero, ochłonawszy nieco i nie zważając już na nic, wykrztusił przez łyzy:

— To ja sam to zrobiłem.

KONIEC.



NADESŁANE.

11 medali, Dyplom honorowy 1908 r.  
**APTEKA E. GESSNERA** 27. Jerozolimska 27  
 w Warszawie

# TRANY LEKARSKIE

z jodem — jodkiem żelaza, żelazem, fosforem i wiele innych.



**MYDŁO  
 z MLEKA LILIOWEGO  
 „KONIK”**  
 BERGMANN I SKA. RADEBEUL-DREZNO

daje rumiany, młodzieńczo-swieży wygląd, czystą, białą, miękką jak jedwab skórę oraz delikatną, oślepiająco piękną cerę. Po 50 kop. dostać można wędzie. Główny skład na Państwo Rosyjskie: Biuro chemicznych preparatów St.-Petersburg, Newski 28, dom Sinoera.

Nagrodzone złotymi medalami, a zalecane przez pp. doktorów i lekarzy-dentystów, eliksir, proszek i pastę

## TYMENTOL

jako najlepsze środki do czyszczenia i konserwowania zębów, oraz odświeżania jamy ustnej, poleca **Centralne Laboratorium Chemiczne** (Czekaj i Krysiwicz) w Warszawie. Sprzedaż w składach aptecznych.

PASTILLES  
 DE

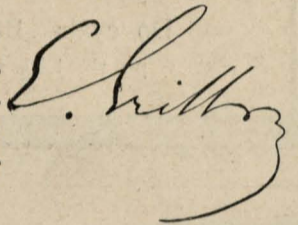
**TAMAR  
 INDIEN  
 GRILLON**

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach.

Owoc przeczyszczający  
 PRZECIW  
**OBSTRUKCYI**

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem



**L. MARCHOWIECKI** Krak.-Przedmieście 23 (vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, ciepłe pantofle, etc. Wyrób własny, ceny niskie.



Wyprzedajemy z dawnych zapasów

**5,000 gąsiork. wina węg.**

wytrawnego, średniego lub słodkiego po wyjąkowej cenie rub. 1 kop. 20. Dostawa 15 gąsiorków franko.

Skład Win i Koniaku  
**Braci KEMPNERÓW**  
 Długa Nr 5. Telefonu Nr 772.

## Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.



**HENRYK MICHAUX**  
 LEKARZ DENTYSTA

Warszawa, Foksal Nr 15. Telefon 69-80.

## SAGRADA BARBER

wzmacnia żołądek i łagodnie przeczyszcza



— Witam panią!  
 — Ach, panie, co za pogoda!  
 — Phi! jak dla mnie, to lepsza taka, niż żadna.  
 Rys. Fr. Kostrzewski.

KSIĘGARNIA

**GEBETHNERA i WOLFFA**

w Warszawie

poleca:

## WYBÓR POEZYI

ARTURA OPPMANA (OR-OTA)

wydanie nowe zmienione i powiększone, z portretem autora.

Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOŁE

ORGANY, MELODYKONY

**GEBETHNER i WOLFF**

Warszawa, Krak.-Przed. 17

**LUDWIK SZUFA**

**KRAWIEC**

KRAKOW TELEFON 671

SALON „ARS”

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).

Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

JEDYNY SKŁAD FABRYCZNY  
 MEBLI GIĘTYCH

## BRACI THONET

w Wiedniu. Warszawa, Marszałkowska 141  
 poleca w wielkim wyborze MEBLE. Artykuły sportowe.

## J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI

Krakowskie-Przedmieście Nr 19  
 dom własny

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”

mamy na składzie

**Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY „TYGODNIKA”**

po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.

**piękne artystyczne teczki**

do albumu „DUCH REWOLUCYONISTA” A. Kamińskiego

po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.

Do cyklu „BOŻY ROK” Piotra Stachewicza

po rb. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rb. 2.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

**SKŁADY NUT  
GEBETHNERA I WOLFFA**

W WARSZAWIE,

Nowo-Sienna 9 (róg Zgoda)

Krakowskie-Przedmieście 15

Polecają

**WIENIEŃSKIE tanie wydawnictwa  
nutowe w tomach  
„UNIWERSAL-EDITION”**Dzieła kompletne klasyków w najnowszym opracowaniu, jak również kompozycje **Richarda Straussa, Maxa Regera i wielu innych** w układzie na wszystkie instrumenty oraz do śpiewu.

„Universal Edition” zastępuje niemieckie wydania Petersa, Litoffa i inne.

Wyłączna reprezentacja na Królestwo Polskie

**DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH  
EKSTRAKT I KARMEŁKI****LELIWA**w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.  
SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

Rynek głów. linia AB róg ul. Floryańskiej

**KRAKÓW Magazyn Nowości B. WIERZEJSKI**

Ceny bardzo niskie. Wybór wielki. Towary tylko polskie, krajowe.

**Dr. I. Wapiński** ord. klin. szpitala świętego Łazarza Nowosenańska 10. Telefon 942. Choroby skórne i wener. Do 12 rano i od 5—8 w.**J. MIECZKOWSKI, Fotografia** Marszałkowska III. Telefon 16.81.Tow. Akc. **Haberbusch i Schiele** Browaru poleca **PIWO PILZEŃSKIE.****ODPOWIEDZI.***P. R. M. w Dąbrowie.* Szarady nadesłanej nie zamieścimy.*P. J. K., czytelnikowi Tygodnika.* Numer, poświęcony powstaniu styczniowemu, wydaliśmy dwa lata temu; o „leżącej masie rękopisów”, dotyczących tego przedmiotu, nie wiemy. Powieści podróżniczych *Tygodnik* nie zamieszcza, za to znajdzie Sz. P. w wielu przyszłych numerach krótkie szkice podróżnicze, bogato ilustrowane.*Stalej prenumeratorki M. M.* Za uwagi Sz. P., podyktowane szczerą życzliwością dla *Tygodnika*, serdecznie dziękujemy. „Kroniki tygodniowe” będą zawsze pomieszczane w *Tygodniku*, który zresztą stale dąży do tego, aby doskonalić się i zadośćuczynić wszelkim potrzebom duchowym swoich czytelników. Cel ten będzie nam przyświecał i nadal.*P. M. Albińskiemu.* Studya o Andrzeju Morsztynie: A. Małcki: „Z dziejów i literatury”; P. Chmielowski: „Przedmowa do wydania poezji w „Bibl. najceln. utw.”; A. Bećkowski: „A. M., poeta romantyczny XVII w. (Ze studyów)”; E. Porębowicz: „A. M., przedstawiciel baroku w poezji polskiej” („Rozpr. Ak. Um. wydz. filoz.” serya II, t. 6, 1894—i osobno); Wł. Nehring: „Psyche A. M. (Studia).”*P. S. T., stalemu prenumeratorki w Sosnowcu.* A. A. Kryńskiego „Gramatyka polska” i Steina i Zawilińskiego „Gramatyka języka polskiego”; A. Krasnowolskiego „Składnia języka polskiego”; P. Chmielowskiego „Stylistyka polska” i A. G. Bema „Teoria poezji polskiej”.*P. M. S. z O.* Trudno nam udzielić objaśnień w zawilej sprawie spadkowej. Radzimy udać się do jednego z wybitnych prawników, ustnie lub listownie.*P. Z. B.* Musielibyśmy zobaczyć rękopis, do niczego bowiem napróżd nie możemy się zobowiązywać.*P. H. Kantorowi w Łodzi.* Tylko: „tym razem”. „Razą” jest formą szczątkową dawnego przysłówka, łączenie go z określeniem przymiotnikowym lub zaimkowem („tą razą”, „ostatnią razą”) jest błędem gramatycznym.*Ask...* (nieczytelne). „O zachodzie” bardzo słabe, obrazowanie nieudolne, rymy wyciągane za włosy.*Mimozie N. Wiersz Sz. P.* jest, zapewne, szczerym wylewem uczuć i wier-nem zwierciadłem myśli, ale wiele mu jeszcze brak, by go można było zaliczyć do utworów... poetyckich.*P. Zygmuntowi Ber. w Suchum.* Wiersz Pański szwankuje nie tylko na punkcie stylu i rytmiki, ale i gramatyki (np.: „nie wolno tęczę złotą barwić życia nie”—pow. być: nici), a nawet pisowni (np, „krutko”—zam. „krót-ko”). W koszu!*P. Al. Ber. w Łomży.* Wierszy Pańskich nie wydrukujemy. Bardzo słabe!*Psyche.* Temat tak pospolity i zbanalizowany, próba tak drobna, że trudno coś o „talencie”, czy tylko „manii autorskiej”, powiedzieć; najwyżej można zauważyć pewną łatwość wystawiania się—i tylko tyle.*Prenumeratorki z Podola.* Jest to zwykła encyklopedia, w porządku abecadowym przedmiotów.*P. Bolesławowi Kl. w Krakowie.* „Moja Leba” w koszu; zdradza brak zasadniczych wiadomości o stylu i wierszu.*P. Wł. Siemionowowi w Krakowie.* Radzimy zwrócić się do zarządu tu-tejszych bibliotek: ord. hr. Zamojskich (Żabia, róg Senatorskiej), oraz ord. hr. Krasieńskich (Krakowskie - Przedmieście, 5).*P. Aem w Kr.* Sonetów Pańskich nie będziemy drukowali z powodu obfitego zaopatrzenia naszej teki redakcyjnej.*Autorowi wiersza „Umierający gladyator”.* „Gladyator” Pański nie oczekiwał się triumfu: legł—w koszu.*W. S.* Z utworów Pańskich wzięta pewna zdolność rymowania, przy braku obycia ze stylem i budową wiersza. Przy usilnej pracy, możeby się i dało co z tego wykrzesać. Tymczasem—to tylko niewinna rozrywka.*P. H. Win.* Za piękne fotografie, oraz materiały informacyjne serdecznie dziękujemy. Zamieścimy to, nadawszy artykułowi formę literacką.*P. M. L. G.* Można posłać w markach pocztowych austriackich.Złoty medal—Ciechocinek 1908  
Srebrny medal—Wilno**Pierwsza warsz. Fabryka styl. Mebli trzećinowych T. & W. Krakowscy**Magazyn—Warszawa,  
Aleje Ujazdowskie 16.**L. Lipiński** {Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12. } Wielki wybór brylantów, kolorowych kamieni i pereł oraz biżuterii złotej i srebrnej w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe. Firma egz. od 1875  
{WIERZBOWA Nr 7 (plac Teatralny) w Warszawie, }**Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90**

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.